Cena 40 gr.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ODNOWA

TYGODNIK

15 Październik, 1936 r. Czwartek Nr. 7

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6-97-99.

Niewola czy swawola

Przygaśmy zachwyty. Powściągnijmy krytykę. Tak w jednym, jak i w drugim kierunku. Bo nigdy nie było i nigdy nie będzie takiej doskonałości, której rozrost nadmierny nie przyniósłby szkody. Gdy omnipotencja państwa zostaje wyolbrzymiona, — jest źle. Gdy swoboda jednostki nie ma hamulca, — jest źle. Więc kiedy jest dobrze? W jakiem rozróżnieniu należy upatrywać harmonji, gdzie znajduje się ów modus vivendi, pozwalający korzystać z dobrodziejstwa potęgi skupionej, a nie obrażający poczucia wolności?

Wszystko dla państwa — jest hasłem równie popularnem, jak bezsensownem. Wszystko? A więc i to, co wcale nie odpowiada jego roli, zadaniom, istocie? Okrzyk «gore!» wystarcza dla obudzenia czujności mieszkańców palącego się domu, ale nie wystarcza dla objaśnienia zjawiska i dla znalezienia środków ochronnych. Tak samo ani w antropologji, ani w socjologji nie rozwiąże sprawy żydowskiej wrzask «bij Żyda!», jak nie rozwiązuje zagadnień etatyzmu jakikolwiek skrót pojęciowy. Można się przerzucać do krańców zależnie od podkładu uczuciowego i walczyć aż do zagłady, ale w objektywizmie badawczym i twórczym potrzeba innych sprawdzianów, innych metod. Z odrazą patrzymy na rzezie, jakich nie znała historja, w państwach totalnych, i na tępienie najpiękniejszej cechy ludzkiej — indywidualizmu. Ale jednocześnie tylko zaślepiony nie dostrzegłby skutków anarchji — obojętne, jak ją nazwiemy — barcelońskiej, meksykańskiej, czy polskiej z przed 150 lat.

Błędy, pochodzące z totalizmu ustrojowego lub ze swawoli jednostek, mogą być naprawione przez wojnę, rewolucję, klęskę powszechną i dostatecznie potężną, aby wytworzyć siłą inne formy bytu. Ale nie uczynią tego najsilniejsze argumenty. Inaczej jednak sprawa wygląda, gdy w grę wchodzą korzyści gospodarcze. Bo można wystrzelać obywateli opornych, względnie zamknąć ich i sponiewierać w obozach poprawczych. Ale niepodobna ukarać waluty zagranicznej, czy też zaaresztować niedostępnego rynku zbytu na obczyźnie. Doktrynerzy tak sztywni i tak zasobni, jak w Rosji sowieckiej, i ci nawet odstąpili od ortodoksyjnej wiary w etatyzm ekonomiczny. Miljony niewolników zaprzęgali do pracy, wartości wielomiljardowe rzucali do walki z koniecznościami gospodarczemi, zmobilizowali armję uczonych i specjalistów, układali plany na pięć i na więcej lat i pomimo tych wysiłków—ugięli się pod musem. Etatyzm w Rosji jeszcze nie przegrał wojny, lecz przegrywa wszystkie bitwy. I teraz zaczyna rozumować i wykrywać przyczyny niepowodzeń.

Chodzi więc o sprawdzian. Chodzi o znalezienie jeśli nie prawa, rządzącego zjawiskami, to hipotezy roboczej i na tyle wydajnej, aby w większości wypadków dawała odpowiedź jasną i normującą stosunek państwa do jednostki. Chodzi o ustalenie osi obrotu w dyskusji, gdzie jedna ze stron krzyczy «dobro państwa», a druga wrzeszczy «wolność osobista». Tutaj trzeba się przekonać w imię korzyści obustronnych.

Wyprowadźmy wnioski z następującego określenia: państwo jest czynnikiem nadrzędnym, a nie współrzędnym z obywatelami. W takim razie państwo może kontrolować, lecz nie wolno mu rywalizować, bo przez swą nadpotęgę natychmiast zniszczy obywateli. Może być bodźcem dla poczynań prywatnych, opiekunem, dostarczycielem środków materjalnych, lecz nigdy konkurentem na terenach jednostek. Może przeszkadzać szkodliwości, lecz nie pożytkowi pracy. Może ścigać winnych, lecz nie reglamentować i nękać niewinnych. Może pomagać słabym, lecz nie osłabiać silnych. Może stwarzać warunki dla pracy, lecz nie wolno mu odbierać warsztatów pracy. Może ingerować w sprawach znaczenia ogólnego, a nie poszczególnego. Może popierać tylko to, co jest bezwzględnie potrzebne dla dobra ogółu, a nie dla własnej wygody i zbytku. Państwo winno dotrzymywać swych obietnic, być wzorem uczciwości i lojalności, rządzić się wyłącznie prawem, sprawiedliwie je wymierzać. Państwu nie wolno odbierać praw nabytych, organizować koterji, klik, mafji, przywilejów, dzielić obywateli na pupilów i pokrzywdzonych, przeciwstawiać jednych drugim, siać niezgodę, a o zgodę prosić tylko w chwilach ciężkich dla państwa. Państwo musi być autorytetem formalnym i rzeczywistym. Państwo musi być siłą dobroczynną i opiekuńczą, budzącą miłość i zaufanie, a nie strach przed wyzyskiem konkurenta współrzędnego i złowrogiego.

W przeciwnym wypadku państwo choruje na wstrząsy i rewolucje, albo załamuje się pod naciskiem konieczności ekonomicznych.

STEFAN GLASER

Z perspektywy trzech lat

Upłynęły trzy lata od chwili, kiedy to p. Janusz Jędrzejewicz, piastując godność Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Polsce, zwinął 52 katedry w Szkołach Akademickich, przenosząc jednocześnie profesorów w stan «spoczynku».

Warto może dzisiaj, z perspektywy trzech lat, przyjrzeć się nieco bliżej, a raczej przypomnieć historję walki o autonomję uniwersytecką w Polsce, oraz tło, na jakiem się rozegrała.

Osławiona ustawa akademicka z marca 1933 r. przygotowywana była starannie od dłuższego czasu. Działano konsekwentnie, krok za krokiem, przygotowując grunt i nie zaniedbując niczego, co się wydawało przydatnem dla realizacji zamierzonego dzieła. A więc rozpoczęto od kampanji przeciwko profesorom w sanacyjnych pismach o różnych odcieniach; wszystkie artykuły, które się ukazywały raz po raz, zmierzały do jednego celu: spostponowania nauki i obniżenia autorytetu profesorów. Profesorów określano jako «butną i nieudyscyplinowaną masę», złożoną z darmozjadów, którzy sześć miesięcy w roku wakacjują, drugie sześć — próżnują. Ale nie poprzestano na tem. Ów pochód przeciwko profesorom, zainicjowany i kierowany przez ówczesnego ministra oświaty, był w ścisłym związku ze stanowiskiem, zajętem przez autorów owych artykułów wobec nauki i kultury — kultury umysłowej, kultury moralnej. Nie zawahano się uświadamiać społeczeństwo i przekonywać szerokie masy, i to z wyżyn autorytatywnych, że «kultura ducha to pakunek z czasów niewoli, który z dniem każdym traci resztki sensu». W ciele profesorskiem utworzono specjalną organizację pod nazwą «Zrąb», która miała dopomagać p. Jędrzejewiczowi w jego zamierzeniach, a z której pochodzili niewątpliwie później owi «wybitni fachowcy», na których powoływał się p. Jędrzejewicz, jako na swych doradców w przedmiocie usuwania profesorów.

Gdy po takiem strategicznem przygotowaniu rozgorzała walka o autonomję szkół akademickich, stanęły naprzeciwko siebie dwa obozy: jeden, obejmujący wszystkie, bez wyjątku, senaty akademickie, z rektorami na czele, wszystkie, bez wyjątku, towarzystwa naukowe, z Akademją Umiejętności na czele; drugi — to obóz p. Jędrzejewicza z nieliczną garstką «zrębowców» oraz z odpowiednio dobranymi referentami czy też sprawozdawcami w ciałach ustawodawczych. Z pierwszego to obozu wyszła naówczas księga «W obronie szkół akademickich», w której najwybitniejsi nasi uczeni, członkowie Akademji Umiejętności, a wśród nich również i obecny Minister Oświaty, p. Wojciech Świętosławski, wskazywali na niebezpieczeństwo dla nauki i kultury polskiej, jakie kryje w sobie zamierzone dzieło p. Jędrzejewicza. Tam też odezwał się po raz ostatni jeden z największych potentatów umysłu i ducha, Oswald Balzer, przestrzegając przed projektem nowej ustawy, która stać się może «grobem naukowości w Polsce». Ustawy się nie doczekał, dla Niego bowiem już sam projekt takiej ustawy w odrodzonej Polsce, stał się grobem... Wynik tej walki z góry był przesądzony, siły bowiem były nierówne: z jednej potęga ducha i troska o dobro nauki i nauczania — z drugiej symbol dzisiejszej doby — przemoc fizyczna.

Niebawem po ogłoszeniu ustawy akademickiej z 15 marca 1933 r., przygotowującej grunt prawny pod zamierzenia p. Jędrzejewicza, p. Janusz Jędrzejewicz, wbrew solennym przyrzeczeniom i zapewnieniom, złożonym w Sejmie, zwinął rozporządzeniami z 25 września i 5 grudnia 1933 r. 52 katedry w Szkołach Akademickich — a w ich rzędzie jedyną w Polsce katedrę historji kultury. Rekompensatą miało być stworzenie kilku katedr etnografji na Uniwersytecie Warszawskim... Równolegle postępowały inne, z tych samych intencyj zrodzone i tym samym duchem owiane zarządzenia p. ministra, a więc niezatwierdzanie rektorów, mianowanie w ich miejsce komisarzy, odrzucanie wniosków Senatów Akademickich o nadanie godności profesora honorowego najwybitniejszym i najbardziej zasłużonym uczonym, przenoszenie na emeryturę z powodu «przekroczenia granicy wieku» profesorów w pełni sił fizycznych i duchowych, w pełnym rozkwicie twórczości naukowej. Stało się to, co przewidział i co przepowiedział Oswald Balzer, mówiąc, że o katedrach decydować będą «orjentacje polityczne, nie zaś kwalifikacje naukowe» — nie ich potrzeba i ich celowość. W marcu 1935 r. zwiniętą została na Uniwersytecie Jagiellońskim katedra historji powszechnej wraz z połączonym z nią zakładem naukowym, której przedstawiciel, jeden z najwybitniejszych polskich uczonych, Wacław Sobieski, w kilka dni potem życie zakończył...

W tegorocznem sprawozdaniu rektorskiem, ustępujący rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego po trzechletniem urzędowaniu, podkreślił, że ustawa akademicka z marca 1933 r. wyrządziła wiele szkód szkołom akademickim, nietylko materjalnych ale i moralnych i że trzeba będzie szeregu lat, «aby te szkody odrobić i przywrócić szkołom ich dawne znaczenie i szacunek w społeczeństwie». Przed trzema laty, żegnając ustępujących kolegów z Uniwersytetu Wileńskiego, wołał z bólem Marjan Zdziechowski, chluba naszej nauki i kultury: «pocóż dożyłem chwili, w której nauki i kultury muszę bronić nie przeciw dzikim jakimś rusyfikatorom, lecz przeciw swoim?» Marjan Zdziechowski lepiej może niż ktokolwiek inny zrozumiał, że to, co się stało, jest nietylko szkodą, ale jest plamą na historji naszej kultury.

W. NIENASKI

Jeszcze o zachód czy wschód

Unikamy zasadniczo polemiki. Ale na artykuł p. J. Dołęgi Kowalewskiego chcemy odpowiedzieć. Bo i temat jest niezwykle ważny i poglądy p. Kowalewskiego, naszem zdaniem niesłuszne, nie są jednak w Polsce wcale odosobnione. A u p. Kowalewskiego są niewątpliwie zupełnie szczere i nie są tylko pokrywą dla takich czy innych interesów grupy czy klasy. Zasługują przeto na równie szczerą i jasną odpowiedź. Dajemy ją, narażając się nawet na ryzyko, że postępujemy nie dyplomatycznie. Naszem zdaniem prostota, jasność i szczerość bynajmniej dyplomacji nie szkodzą, choć przyznajemy, że dość rzadko stanowią jej cechy. A już pnblicystyka, jeśli chce trafić do czytelników, musi poruszać się po linjach jasnych i prostych i nie może gubić swej myśli w zawiłościach i zakrętach dyplomatycznego stylu.

Nie znając osobiście p. Kowalewskiego, na zasadzie tylko jego wywodów, jego mentalność i nastawienie psychiczne zaliczylibyśmy do grupy, którą nazywamy u siebie i może niesłusznie, mentalnością emigracyjną. Cechuje ona bowiem emigrację rosyjską i tych Polaków, którzy żyjąc dłuższy czas w Rosji i zmuszeni opuścić ją z powodu rewolucji bolszewickiej, mimo szczerego polskiego patrjotyzmu, pozostali jednak związani z dawnem środowiskiem. Jedno «nigdy nie uwierzę» p. Kowalewskiego każe mi zaliczyć go właśnie do tej grupy. Bo właśnie najbardziej zasadniczym rysem jej jest niewiara w możność jakiejkolwiek ewolucji dzisiejszej Rosji sowieckiej. Wspomnienie pierwszych lat rewolucyjnych i widzianych i przeżytych okropności zbyt jest silne; nienawiść do bolszewików zbyt gwałtowna, aby pozwoliły na objektywną ocenę zachodzących przemian. Jest to zupełnie zrozumiałe psychologicznie i bynajmniej nie jest czemś nowem. Dawno już we Francji rządził Napoleon, prowadząc ją od zwycięstwa do zwycięstwa i przywracając ład i porządek wewnętrzny, a arystokratyczni emigranci francuscy po dworach europejskich bredzili wciąż o jakobinach i terrorze. I uchodzili naturalnie za patentowanych znawców Francji. Dziś zjawisko to się powtarza w stosunku do Rosji. I politycznie jest bardzo niebezpieczne, jak każde uprzedzenie, zaciekłość i ślepota.

Sądzimy, że z tego nastawienia psychicznego wynika też u p. Kowalewskiego inny rys charakterystyczny, w sprawie najbardziej zasadniczej. Jest to pewnego rodzaju fatalizm. P. Kowalewski wierzy w konieczność wojny i to wojny religijnej. Nie widzi sposobu jej uniknięcia. I dlatego polemizuje tylko z drugą częścią naszego artykułu. Pierwsza dla niego nie jest ważna. Idzie mu tylko o to, czy Polska ma pójść z Niemcami czy z Rosją. O tem, czy możnaby uniknąć tego smutnego wyboru i czy Polska, właśnie Polska, nie mogłaby w tem odegrać decydującej roli, nawet nie myśli.

I my dostrzegliśmy i w Sowietach i w Niemczech dzisiejszych cechy niemal religijne i nazwaliśmy oba te państwa dwoma kościołami wojującemi. Ale nie sądzimy, aby to koniecznie musiało prowadzić do wojny. Wojny religijne w znaczeniu walki przekonań, idei, światopoglądów właściwie nigdy się nie skończyły, trwały całe stulecia i trwają w dalszym ciągu. Zmieniły się

tylko metody walki. Miejsce pałki zajęły argumenty mniej namacalne. I nie sądzimy, aby koniecznym był w dwudziestym wieku powrót do dawnych metod, choćby w nowoczesnem wydaniu karabinów maszynowych, bomb i gazów trujących. Nie przeczymy, że wiele rzeczy wskazuje na niebezpieczeństwo takiego rozwoju wypadków, a raczej takiego cofnięcia się ludzkości. Wszak mamy już i w Sowietach i Niemczech i gdzieindziej starą i potępioną zasadę «cuius regio eius religio» w nowoczesnej formie monopartyjności. I mamy nawracanie siłą dyssydentów w obozach koncentracyjnych i drogą gwałtu. Nie możemy więc wykluczyć, że dojdzie i do krwawych rozpraw ideowych nie tylko wewnątrz poszczególnych krajów, ale i między niemi.

Ale nie wynika z tego, abyśmy biernie i z poddaniem się losowi mieli przyjmować ten wyrok śmierci na kulturę europejską i nie próbowali mu przeciwdziałać. Na szczęście nie wszędzie jeszcze zaszły rzeczy tak daleko. Są szczęśliwe kraje, jest ich nawet spora liczba i nie byle jakich, które nie znają «szczęścia» ani faszyzmu ani bolszewizmu. One też mają do odegrania wielką rolę w sprawie utrzymania pokoju. Chcielibyśmy, aby do nich właśnie należała Polska, której położenie geograficzne wyznaczyło rolę niezmiernie ważną, niemal decydującą. Właśnie Polska bowiem, o ile potrafi obronić się na wewnątrz przeciw zakusom zarówno komunizmu, jak i faszyzmu, oddziela wojujący faszyzm od wojującego komunizmu i stanowi wał ochronny między nimi. W oparciu o wielkie demokracje światowe i w ścisłej z niemi współpracy nad utrzymaniem pokoju będzie ona dość silna, aby nie dopuścić do wybuchu wojny. Sądzimy też, że wojny religijne ani nie leżą w tradycjach Polski (nie braliśmy w nich ongiś udziału) ani nie leżą w jej interesie. A nie sądzimy, aby tak pojęta rola Polski pozostawała w jakiejkolwiek sprzeczności z temi dobrami nadrzędnemi, o których pisze p. Kowalewski, a które i dla nas są nadrzędne i godne najwyższego szacunku. W szczególności nie sądzimy, aby pozostawała w jakiejkolwiek sprzeczności z dobrze zrozumianym duchem prawdziwego chrześcijaństwa.

Obawiamy się natomiast, że dzisiejsze wojny religijne byłyby, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, raczej pretekstem do załatwiania interesów imperjalistycznych, mało «religijnych» i wcale nie «świętych». W szczególności podejrzewamy o to Niemcy, których «Raumpolitik» jest pod tym względem wcale wyraźna. A tu już trzeba zejść z koturnów walki ideowej i obrony dóbr moralnych i przyłożyć trzeźwą miarę interesu państwowego. Ta miara zaś nie przemawia na rzecz współdziałania Polski z Niemcami w tej sprawie. Nie chcemy mnożyć analogij historycznych. Przypomnimy tylko krótko, ile nas kosztowały religijne i święte wojny Krzyżaków, w których idealizm nieopatrznieśmy uwierzyli. Aż skończyło się to na sekularyzacji i protestantyzmie Prus. I na rozbiorach Polski. Comparaison n'est pas raison. Ale często ułatwia bardzo zrozumienie rzeczywistości.

Dlatego dążenie do utrzymania pokoju w współdziałaniu i oparciu o wielkie demokracje zachodu, Francję, Anglję i Stany Zjednoczone, wydaje nam się najbardziej zasadniczą i podstawową cechą dobrej polskiej polityki zagranicznej. Warunkiem dla jej prowadzenia jest oczywiście uchronienie Polski od komunizmu i faszyzmu. Jest to już zadaniem rozumnej polityki wewnętrznej. Nastroje mas polskich, w szczególności olbrzymiej masy chłopskiej, zadanie to znakomicie ułatwiają. Trzeba tylko umieć z nich skorzystać.

To jest nasze stanowisko zasadnicze. Realizm polityczny każe nam jednak mimo wszystko liczyć się z możliwością nieudania się tej pokojowej dziejowej misji polskiej. To tylko do pokojowej współpracy trzeba co najmniej dwuch. Do wywołania wojny wystarczy jeden napastnik. Z tem polityka zagraniczna musi się liczyć. A że zadaniem jej jest nie tylko zapewnienie najlepszych warunków i możliwości rozwojowych państwu na czas pokoju, ale i najkorzystniejszych warunków obrony państwa na wypadek wojny, przeto rozważanie, co stałoby się w tym wypadku, musieliśmy uwzględnić w naszym programowym artykule. Inaczej słusznie mógłby nas spotkać zarzut ulegania mrzonkom nierealnego pacyfizmu.

Tę część naszych wywodów rozpatrywaliśmy tylko z punktu widzenia interesu państwowego, co wyraźnieśmy podkreślili. I przy tem trwamy. Sądzimy bowiem, że sprawa ewentualnego współdziałania dwu armij właśnie z tego punktu widzenia winna być rozpatrywana. Jest rzeczą odpowiedniej polityki wewnętrznej, a przedewszystkiem zdrowia moralnego narodu, oddzielić silną linją demarkacyjną współdziałanie wojskowe od wpływów politycznych, ustrojowych, ideowych, moralnych. Przyznajemy, że nie jest to zadanie łatwe. Ale niema innego wyjścia. I to w obu wypadkach. Zarówno w razie współdziałania z Rosją sowiecką, jak i w razie współdziałania z Niemcami. Nie jest naszą winą, że wybór mamy tylko pomiędzy dwoma złemi. Jest natomiast naszem zadaniem sprowadzić do minimum tego nieuchronne następstwa.

To zaznaczyliśmy wyraźnie i z tem zastrzeżeniem opowiedzieliśmy się raczej za współdziałaniem z Rosją sowiecką. Podaliśmy po temu dobre racje. I nie przekona nas mnożenie argumentów, że komunizm jest złem i niebezpieczeństwem. Jest to wywalanie drzwi otwartych. Jesteśmy bowiem o tem zgóry przekonani i przekonywać nas już o tem nie trzeba. Natomiast sądzimy, że jest mniejszem złem i mniejszem niebezpieczeństwem, niż niebezpieczeństwo niemieckie. I tylko w tej płaszczyźnie, w płaszczyźnie porównawczej, uważamy dyskusję za pożądaną i celową.

Tymczasem zaś obserwujemy dziwne zjawisko. Nawet najwięksi przeciwnicy współdziałania z Rosją sowiecką cofają się przed wyciągnięciem z tego właściwych konsekwencyj i opowiedzeniem się za współdziałaniem z Niemcami. Nie opowiada się wyraźnie za tem i p. Kowalewski. Chciałby tylko jeszcze — podyskutować. I w płaszczyźnie porównawczej przytacza dość nieśmiało dwa argumenty. Jednym jest rzekome «nawrócenie się» Niemiec, które dziś już nie chcą zagłady Polski. Drugim również rzekomy brak zaborczych tendencyj u Niemiec, które chcą tylko otworzyć Rosję dla pokojowej penetracji fachowych sił, w czem mogłaby uczestniczyć i Polska, a przedewszystkiem wysłać do Birobidżanu ze dwa miljony żydów.

W dyskusji o rzekomem nawróceniu się Niemiec wyręczyła nas p. Irena Pannenkowa w swoim doskonałym artykule «Złudzenia niebezpieczne». Podzielamy całkowicie jej pogląd. I do tego artykułu odsyłamy p. Kowalewskiego.

Pozostaje sprawa pokojowej penetracji. P. Kowalewski sądzi, że nie o zabór Polski ani jej części i nie o zabór paru gubernij rosyjskich Niemcom chodzi, ale o otwarcie całej Rosji dla pokojowej penetracji sił fachowych i wyzyskanie tym sposobem bogactw tego niezmierzonego kraju. Tak, być by to mogło. Tylko dlaczego w takim razie nie znika ze szpalt publicystyki niemieckiej ani sprawa «korytarza», ani sprawa Gdańska, ani sprawa Górnego Śląska? I dlaczego mimo najlepszej przyjaźni nie sposób skłonić Niemcy do jasnego uznania granic Polski? I dlaczego zarówno «Mein Kampf», jak i liczne pisma innych ewangielistów ruchu hitlerowskiego, n. p. Rosenberga, wyraźnie piszą właśnie o zaborach na wschodzie? A potem: nie było chyba lepszej dla Niemiec okazji do penetracji pokojowej, jak polityka Rapalla. Odbywała się też już ta penetracja na wielką skalę i inżynierowie, mechanicy i rzemieślnicy niemieccy czuli się w Sowietach, jak u siebie w domu. I właśnie Hitlerowi to nie wystarczyło. I właśnie zamiast polityki Rapalla głosi krucjatę na wschód, głośno marząc w Norymberdze o tem, jakby to pięknie było, gdyby Ukraina, Ural, Syberja, znalazły się w posiadaniu Niemiec. Nie o pokojową penetrację tu chodzi, nawet nie o możliwości kolonizacyjne, które właśnie «międzynarodowość» Sowietów bardzo ułatwia. Znacznie trudniejby to szło w narodowej Rosji. Także i z tymi żydami. Idzie tu o zabór, który dla nas oznacza co najmniej okrążenie, jeśli nie zniszczenie Polski. I tylko to tłómaczy potworne zbrojenia niemieckie.

Nie przekonały nas argumenty p. Kowalewskiego. Ale ucieszył nas fakt, że udało się w dobie skrępowania i apatji opinji publicznej nawiązać rzeczową i spokojną dyskusję na tematy bardzo zasadnicze, chyba najważniejsze, a niesłusznie trzymane od lat w zaciszu gabinetów ministerjalnych i wśród szczupłego grona wtajemniczonych. Uważamy to za dobry znak powracającego zainteresowania się sprawami publicznemi.

Kronika zagraniczna

Szkodliwa tajność

Uroczyste wizyty w Warszawie i Paryżu minęły, o rezultatach ich wiemy, że były bardzo dodatnie, ale dotąd nie wiemy, w czem się mianowicie wyraziły konkretnie. Upływa tydzień za tygodniem i zaniepokojona opinja publiczna daremnie czeka na jakieś urzędowe wyjaśnienia. Zamiast tego dowiadujemy się z prasy francuskiej rzeczy, co najmniej dziwnych. Oto znany publicysta Pertinax w korespondencji z Genewy do „Echo de Paris", pisząc o rozmowach genewskich premjera Bluma, dotyka także spraw polskich. W całości ustęp tej korespondencji dotyczący Polski znajdą czytelnicy w „Przeglądzie prasy zagranicznej" na str. 12 naszego pisma. Dowiadujemy się z niego, że 1-o polityka p. min. Becka nie uległa żadnej zmianie i w dalszym ciągu grawituje ku Niemcom, że 2-o argumenty jego nie przekonały premjera Bluma, że więc 3-o Francja, która przyrzekła Polsce kredyty i broń, nie będzie mogła dotrzymać swej obietnicy, jeśli ogólna polityka polska się nie zmieni. Z informacyj francuskiego publicysty, których prawdziwości nie możemy sprawdzić i które podajemy na jego całkowitą odpowiedzialność, wynikałoby więc, że wszystko jest jeszcze pod znakiem zapytania i radość w Polsce z powodu pomyślnych wyników podróży gen. Rydza-Śmigłego była trochę przed-

wczesna. Czyżby już sprawdzały się obawy, wyrażone w zakończeniu artykułu W. Nienaskiego „Po wizycie paryskiej" w nr. 3/4 naszego pisma? Jedno jest pewne. Nie rozwiała się mgła tajemnicy, otaczającej politykę naszego M. S. Z. od czasu, gdy ster jego objął p. płk. Beck. Przeciwnie gęstnieje coraz bardziej. A chociaż jest to mgła raczej berlińska niż londyńska, stanowi już dość nieprzejrzystą zasłonę i skrywa przed krytyką opinji publicznej działania, które interesują całe społeczeństwo, zmuszone do ponoszenia następstw i kosztów polityki, na którą pozbawione jest wszelkiego wpływu. Co więcej, zdaje się, że mgła zasłania politykę tę nawet przed okiem tych, którzy z urzędu i stanowiska w państwie powinni widzieć rzeczy zupełnie jasno. Czy nie jest to już nadmiar tajemniczości? I czy nie zaliczyć go do przerostów etatyzmu? Monopol na politykę zagraniczną, udzielony jednej osobie, jest stanowczo szkodliwy. Chyba już czas najwyższy z tem skończyć.

Emigracja i kolonje

Delegacja polska w Genewie podjęła akcję w sprawie otwarcia terenów emigracyjnych i dostępu do surowców, pod którym to niewinnym terminem kryją się, wzorem niemieckim, żądania kolonjalne. Uważamy akcję tę za słuszną i pożądaną. Znalazła też ona szerokie i życzliwe echo w społeczeństwie polskiem. Niestety, nie mogliśmy skonstatować, aby równie silne echo znalazła zagranicą, a przedewszystkiem tam, gdzie istotnie sprawy te będą się decydować. Sądzimy, że winę tego ponosi niefortunny wybór momentu podniesienia tej sprawy, właśnie po analogicznem wystąpieniu kanclerza Hitlera w Norymberdze. Sprawia to niepożądane wrażenie, że w tej sprawie dyplomacja nasza idzie w ślad Niemiec i prowadzi grę niemiecką. Tymczasem zaś i żądania polskie są od niemieckich zgoła różne i pozycja Polski jest całkiem inna. Niemcy dążą do obalenia jeszcze jednej części Traktatu Wersalskiego i chcą wymusić zwrot zdobyczy od swych wojennych przeciwników, my mamy do porozmawiania z naszymi sojusznikami i przyjaciółmi o żywotnych potrzebach narodu polskiego. Pocóż więc stwarzać pozory wspólnej akcji, pozory, które mogą ją tylko utrudnić?

Po obradach genewskich

„Wielkie dni" Genewy skończyły się w tym roku przed oficjalnem zamknięciem obrad Ligi Narodów, z opuszczeniem Genewy przez primadonny dyplomatyczne. Zresztą „wielkie dni" były w tym roku wyjątkowo ciche. Najważniejsze sprawy rozgrywały się w zaciszach genewskich hoteli, na oficjalnych zebraniach wiało nudą i pustką. Ożywiły się na chwilę obrady w czasie decyzji o ważności mandatów delegacji abisyńskiej, a potem podczas mów Edena, Delbosa i Litwinowa. Ale były to tylko jaśniejsze momenty, które nie zatarły ogólnego wrażenia tegorocznych obrad. A wrażenie to jest raczej smutne. Liga Narodów nie znalazła jeszcze drogi wyjścia z impasu, w którym znajduje się wraz z całym światem. Odrabiała więc pańszczyznę, nie budząc żywszego zainteresowania ani entuzjazmu.

W basenie naddunajskim

Dewaluacja lira, śmierć premiera Goemboessa oraz rozwiązanie Heimwehry i załamanie się wpływów ks. Starhemberga na rzecz kanclerza Schuschnigga w Austrji, fakty pozornie niczem z sobą nie związane i niewspółmierne, składają się w sumie na jednolity obraz upadku wpływów włoskich i wzrostu wpływów niemieckich w basenie naddunajskim. Bo mimo porozumienia rzymskiego ani Austrja ani Węgry nie poszły dotąd w ślady Włoch w polityce walutowej, a przez śmierć Goemboessa i upadek Starhemberga Włochy utraciły dwa główne filary, na których opierały się w polityce środkowo-europejskiej. Ani kanclerz Schuschnigg, ani premjer Daranyi nie są już tak oddani polityce rzymskiej i raczej są skłonni do gry pomiędzy Rzymem a Berlinem. Włochy mają więc dwie drogi do wyboru. Albo wyrównać stosunki z Trzecią Rzeszą i ułożyć się z nią w sprawie jakiegoś modus vivendi nad Dunajem, albo też porozumieć się z Małą Ententą, co wydaje się obecnie zupełnie możliwe, w sprawie rozszerzenia porozumienia rzymskiego, mniej więcej według planów premjera Hodży. Na razie próbują pierwszej drogi, do czego służą rozmowy w czasie pogrzebu premjera Goemboessa w Budapeszcie i podróż hr. Ciano do Berlina. Widocznie żal im się rozstać definitywnie z wygodną pozycją tertius gaudens pomiędzy Francją i Anglją a Niemcami. Zależeć to jednak będzie od rezultatów wizyty hr. Ciano w Berlinie i od dalszego przebiegu wypadków i w Austrji i na Węgrzech. Dla przyszłych losów Europy rozgrywka to pierwszorzędnego znaczenia.

Burza w szklance wody

Ostra nota sowiecka w sprawie naruszania zasady neutralności i nieinterwencji w Hiszpanji przez Portugalję, Niemcy i Włochy wywołała w Londynie burzę. Wnet jednak okazało się, że jest to na szczęście tylko burza w szklance wody. Nikt już faktycznie nie zdradza ochoty do naruszenia pokoju z powodu wypadków hiszpańskich. Nota sowiecka była raczej materjałem propagandowym, przeznaczonym na użytek agitatorów trzeciej międzynarodówki, niż groźbą serje. Reakcja Niemiec i Włoch na nią również świadczy o braku zainteresowania, co złośliwi wiążą z mową gen. Franco o nienaruszalności granic Hiszpanji i jej kolonij. A Portugalja sama groźby dla pokoju nie stanowi. Zresztą rozwój wypadków w Hiszpanji świadczy, mimo wyraźnych postępów powstańców, o przewlekłym charakterze walk wewnętrznych, co jest dowodem skuteczności ogłoszonej neutralności mocarstw. Obawa powikłań europejskich z powodu Hiszpanji znacznie zmalała i jest chwilowo nieaktualna.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Słoń w składzie porcelany

Zdarzyło mi się kiedyś, za studenckich czasów, znaleźć w Paryżu, na Quai d'Orléans, opis podróży pewnego Francuza po Polsce. Ponieważ poszukiwałem wtedy namiętnie wszelkich polonica francuskich, kupiłem skwapliwie książkę i pobiegłem z nią do domu.

Zawdzięczam jej chwile prawdziwego humoru. Autor nigdy nie przypuszczał, że dzieło jego taki efekt wywoła. I ja, i koledzy moi, Polacy, cieszyliśmy się tą książką długo.

Autor podróżował po Polsce w ostatniem dziesięcioleciu XIX wieku. Do Warszawy trafił akurat podczas jakiejś galówki. Uderzył go świąteczny wygląd ulic. «On pavoise, on illumine... Des petits lampions le long des murs disent la joie des varsoviens le jour de la fête de leur souverain. Ne seràit-ce la différence de l'idiôme et de la réligion, rien n'empecherait les Polonais de devenir les plus fidèles sujets de S. M. Nicolas II».

Idjota, który to pisał — bo książka była zbyt naiwna, aby ją mogła zamówić lub zapłacić rosyjska ambasada — nie wiedział, co to propaganda. Brał rzeczy po prostu, po parysku: jest radość — to się wywiesza flagi, zapala lampjony; niema radości — to niema siły ludzkiej, któraby do jej udawania zmusić mogła.

Przypominam sobie zawsze tę książkę, która mi, niestety, przepadła w perypetjach wojennych, kiedy słyszę zachwyty nad propagandą bolszewicką lub stosowaną w państwach «totalnych». Spróbuj nie wywiesić flagi, kiedy ci policjant nad karkiem stoi! Są zresztą i inne sposoby do wywołania w duszach świętego entuzjazmu dla rządów, ich firmanta albo pomniejszych przedstawicieli. Działa administracja z systemem szykan, działa organizacja podatkowa, działają — bynajmniej nie jako ultima ratio — miejsca krótszego i dłuższego odosobnienia.

Myślę, że przyjdzie czas, kiedy, jak dzisiaj my z cytowanych wrażeń bystrego Francuza,—obywatele wyzwolonych z wszelakiego «totalizmu» państw śmiać się będą z obserwacyj cudzoziemców, którzy kiedyś zwiedzali ich kraje. Okaże się wówczas, że propagandowe chwyty ustrojów autorytatywnych tyle były warte, co zarządzenia «okołodocznych nadziratieli» w stolicy «Prywislinja» — Warszawie.

Propaganda jest wielką bronią. Wymyśliło ją nie nasze pokolenie, bo, jak świat światem, musieli stosować ją wszyscy rządzący. Zaryzykuję twierdzenie, że stosowali ją nawet wodzowie, mający w ręku pioruny rozkazów. «Żołnierze! Z wysokości tych piramid czterdzieści wieków patrzy na was!» — czyż to nie typowa propaganda czynu, jaki miał być za chwilę dokonany?

Ale, jak widzieliśmy, obok propagandy, która trwa, bywa i taka, która przemija bez śladu, zostawiając po sobie drwinę. Propaganda mocna, trwała musi mieć dwa czynniki twórcze: takt i celowość.

Takt! Wielkie słowo! Takt — to znaczy: rytm, harmonja, estetyka czynu. Bez taktu idą wniwecz najmądrzejsze poczynania ludzkie. Takt jest elementem przyrodzonym, rozsianym normalnie w naturze. Zamącenie taktu stwarza niepokój, dysonans. Nie mąci taktu w przyrodzie zwyczajna śmierć, ale mąci go gwałt, mąci zbrodnia.

Wpajać w ludzi idee, propagować myśli można różnie. Można ich brać za łeb, kazać wierzyć, kazać wyznawać, kazać wielbić. Im cięższa pięść, tem większy posłuch. Postaw człowieka pod ścianą z plutonem egzekucyjnym naprzeciwko i każ mu uwierzyć w to, czemu przed chwilą zaprzeczał. Na stu — dziewięćdziesięciu dziewięciu złoży ci podyktowane wyznanie wiary.

Tak — ale przy pierwszej sposobności upodlony przez ciebie człowiek weźmie sobie na tobie odwet. Nie przekonałeś go — zmusiłeś. Gwałt mści się zawsze i prawie zawsze bardzo dotkliwie.

Gwałt i przymus — to nie propaganda. Powiedzą o tem kiedyś «Führerom» bywalcy obozów koncentracyjnych. Twierdzenie, że obóz koncentracyjny stanowi miejsce «przeszkolenia obywatelskiego», jest albo dowodem tępoty, albo krwawą doprawdy kpiną.

Idźmy dalej. Ustawiczne, ciągłe wmawianie w ludzi jakichś zasług, jakiejś wielkości, jakiejś nieomylności — uważane jest, jeżeli obserwować propagandę państw autorytatywnych, za środek wyborny. Chcą tak wbić w głowy swoje twierdzenie, żeby się stało pewnikiem, zasadniczą podstawą rozumowań, alfą i omegą wierzeń.

Zapominają o jednem. Ciągłe wałkowanie jednego i tego samego musi stworzyć zobojętnienie, musi stworzyć nudę. Można uwielbiać «Sonetę patetyczną» lub «Marsz żałobny» Beethovena, ale słuchać ich ciągle — niesposób. Cierpliwość ludzka ma swoje granice. I znowu — taka propaganda wywiera wprost przeciwny skutek.

Wreszcie — moment. Wybór momentu propagandy jest rzeczą pierwszorzędnej wagi. To, co dziś wyda się ludziom strawne i miłe, jutro będzie nie do przyjęcia. Chociażby dla tego samego w propagandzie musi być umiar. Należyte dozowanie zastrzyków propagandowych świadczy o giętkości lub o zmechanizowaniu propagandy. Jeżeli jest jakikolwiek dział aparatu państwowego, któremu nie wolno ugrzęznąć w biurokratyzmie — to właśnie propagan-

dzie. Nawet wtedy, kiedy jest na służbie najprawdziwszego biurokratyzmu.

A zatem: przekonywająca, a nie przymuszająca, umiarkowana i dyskretna, a nie nadmierna, podana w porę i odpowiednio, a nie podawana bez względu na okoliczności i czas — taka musi być propaganda, jeżeli chce zasłużyć na miano taktownej.

A teraz — celowość propagandy.

Każda moda wywołuje przesadę. Niech się pokażą na ulicy kapelusze damskie osobliwszego kształtu, to na dziesięć — trzy przynajmniej przypominać będą strach na wróble. Podobnie jest w zakresie modnej dziś propagandy.

Można rozumieć propagandę, prowadzoną przez władze polityczne danego kraju. Polityka ma zagadnienia sporne, wymaga zawsze wyjaśnień i perswazyj. Największy autokrata, gardzący tłumem, musi w pewnych wypadkach stosować taktykę trybunów ludowych. Zakwestjonować propagandę polityczną — znaczyłoby: zakwestjonować ją wogóle.

Ale za przykładem resortów politycznych lecą pędem resorty fachowe. I widzimy takie absurdy: propaganda kolei, propaganda poczty; wkrótce doczekalibyśmy się propagandy wodociągów i kanalizacji, gdyby je upaństwowiono.

Dziwna historja! Zdawałoby się: najlepsza propaganda poczty — niech listy dochodzą sprawnie i w całości, depesze niech nie będą przekręcane, a telefony niech działają bez podejrzanych włączeń. Najlepsza propaganda kolei — niech pociągi chodzą szybko, regularnie, według rozkładów z prawdziwego zdarzenia. To są rzeczy tak bezsporne w życiu kulturalnego społeczeństwa, że propagandy nie wymagają, jak nie wymagają ich wodociągi i kanalizacja, o które ludność wszędzie aż piszczy, a których — ciągle na świecie zamało.

Właściwie zachodzi tu grube nieporozumienie. Wynika ono z pomieszania pojęć propagandy i r e k l a m y. Reklama jest zasadniczo również propagandą, ale propagandą kwalifikowaną, propagandą, służącą celom handlowym. Reklama rządzi się własnemi prawami i zasadami, odmiennemi od tych, które cechują propagandę idei.

Państwo w pewnych wypadkach występuje, jako kupiec — monopolista wprawdzie, ale to postaci rzeczy nie zmienia. A raczej zmienia o tyle, że monopole wymagają o wiele mniej reklamy, niż te działy handlowe, w których zachodzi gra wolnej konkurencji.

Reklama kosztuje, równie drogo, jak wszelka propaganda. Chodzi o jej celowość, aby był uszanowany grosz publiczny, z którego się na nią czerpie.

A i propaganda idei powinna być rozpatrywana pod kątem celowości. Są idee bezsporne, których szerzyć — szkoda czasu. Raczej trzeba, aby je potwierdzały czyny. Inaczej nietylko pieniędzy szkoda, ale i energji.

* * *

Powyższe uwagi nasunęły mi się pod wpływem obserwowania przerostów i niezręczności propagandy w krajach, które za wzór celowej pracy w tym zakresie uchodzą. G r o s s o m o d o, powiedzieć można, że propaganda, prowadzona przez faszyzm, jest najzręczniejsza, najbardziej giętka i celowa. Widzimy zresztą jej nieposlednie wyniki. Robota hitleryzmu jest grubsza i często chybia w elemencie taktu. Prawdopodobnie wchodzą tu w grę czynniki duchowe narodów i przyrodzone ich od wieków uzdolnienia. Zauważyć trzeba, że w częściowej tylko zależności od typu pracy propagandowej są tej pracy skutki, zależnie od tego, czy mówimy o rezultatach wewnętrznych czy zewnętrznych.

Byłoby życzeniem każdego Polaka, aby nasza rodzima propaganda błędów się ustrzegła. Aby nie była przysłowiowym słoniem w składzie porcelany, ale dążyła ku swoim celom w sposób poważny i istotny.

Nie przez flagi i iluminacje osiąga się uzgodnienie wysiłków narodu. Nie przez gołosłowne i nudne powtarzanie ciągle tego samego wkółko. Ale przez wykazanie, że czyny nie kłamią słowom i przez zestrzelenie genjuszu narodowego w jedno ognisko.

Najlepsza propaganda — to prawda. Prawda o tem, co było, co jest i co ma być.

STEFAN TAŃSKI

Rozrost etatyzmu w Polsce

Państwo jest dzisiaj w Polsce największym przedsiębiorcą, a nawet — w szeregu najważniejszych gałęzi gospodarki — przedsiębiorcą wyłącznym lub prawie wyłącznym.

Na obecny stan rzeczy złożyły się częściowo powody natury historycznej. Państwo polskie przejęło po każdym z trzech zaborców znaczną ilość przedsiębiorstw państwowych i monopoli. Przyczem zaznaczyło się odrazu charakterystyczne zjawisko. «Budowa Państwa Polskiego,— pisze prof. Adam Krzyżanowski — «dokonała się pod hasłem zesumowania wszystkich zarządzeń i instytucyj etatystycznych, istniejących w każdym zaborze przed rozpoczęciem wielkiej wojny». (Por. Adam Krzyżanowski — «Etatyzm w Polsce»). W szczególności przedsiębiorstwa i monopole skarbowe, które istniały w każdym z trzech zaborów, zostały następnie bądź rozszerzone na cały obszar państwa (monopol solny, monopol spirytusowy, monopol tytoniowy i t. p.), bądź też poważnie rozbudowane (kopalnia węgla «Brzeszcze», fabryka związków azotowych w Chorzowie i t. d.).

W Polsce niepodległej, z chwilą utrwalenia naszego bytu państwowego, obserwujemy niezmiennie stały rozrost etatyzmu. W ciągu osiemnastu lat niepodległości państwo wybudowało względnie założyło szereg nowych przedsiębiorstw (fabryka związków azotowych w Mościcach, wytwórnie wojskowe, «Żegluga Polska » i in.). Rok rocznie przyjmuje państwo w tej czy innej formie prywatne przedsiębiorstwa (np. spółki akcyjne: Azot, Orbis, Kieleckie Towarzystwo Akcyjne Nawozów Sztucznych, Ursus, Skoda, ostatnio Wspólnota Interesów i in.), nabywa udziały w przedsiębiorstwach prywatnych (np. udziały w Hucie Pokój, Banku Związku Spółek Zarobkowych, t. zw. przedsiębiorstwa koncernowe B. G. K., udział we Francusko Polskiem Tow. Kolejowem i wiele, wiele innych, wreszcie rozszerza działalność warsztatów już istniejących na coraz to nowe działy (np. komunikacja autobusowa, uruchomiona przez P. K. P., rozbudowa zakładów przemysłowych w Lasach Państwowych, produkcja wytwórni wojskowych na rynek prywatny i t. p.).

Ogólna wartość majątku państwowego, jaki zainwestowany został w przedsiębiorstwa i monopole państwowe, obliczana jest bardzo różnie, przyczem o rezultacie tego obliczenia decydują dwie pozycje: wartość kolei i lasów państwowych. I tak prof. Heydel szacuje przedsiębiorstwa etatystyczne na 18 miljardów zł., co stanowiłoby ok. 15—25% całego majątku narodowego; prof. Lulek przyjmuje liczbę 12,5 miljardów, dr. Bernadzikiewicz— 13 miljardów zł. Ponieważ do tej pory nie została przeprowadzona szczegółowa inwentaryzacja i oszacowanie majątku państwa — przedsiębiorcy, objektywna ocena tych liczb bynajmniej nie jest łatwa.

Z kolei interesujące jest zagadnienie, czy i w jaki sposób opłaca się Skarbowi Państwa prowadzenie własnych przedsiębiorstw. Oczywiście, trzeba pamiętać, iż punkt widzenia finansowy nie wyczerpuje oceny gospodarki państwowego przedsiębiorstwa. Posiada on jednak zrozumiałe znaczenie przy rozważaniu zagadnienia etatyzmu z punktu widzenia jego wpływu na budżet państwa. Otóż, poprzestając wyłącznie na liczbach oficjalnych, dowiadujemy się, iż w okresie dziesięciu lat budżetowych t. j. od r. 1926/7 do 1935/36 włącznie przedsiębiorstwa państwowe wpłaciły netto do Skarbu (po potrąceniu dopłat ze Skarbu) ogółem 867,9 milj. zł., czyli że przeciętna wpłata roczna netto wynosiła zaledwie 86,8 milj. zł. Jeśli teraz przyjmiemy ogólny majątek przedsiębiorstw państwowych w rozpatrywanym okresie średnio w kwocie 12 miljardów zł., okaże się, iż przeciętna rentowność skarbowa przedsiębiorstw państwowych nie przekracza 0,72%. A należy jeszcze pamiętać, iż w razie poddania liczb oficjalnych niezbędnej korektywie (choćby tylko celem uwzględnienia kwoty pożyczek udzielonych przedsiębiorstwom państwowym z t. zw. funduszu «F» na ogólną sumę 138,6 milj. zł., które następnie zostały darowane tym przedsiębiorstwom i przeszły na ich kapitał zakładowy) — otrzymamy współczynniki nierównie gorsze. A jaki dopiero byłby wynik, gdybyśmy chcieli wprowadzić do naszego rachunku... np. przywileje podatkowe polskich przedsiębiorstw państwowych!

Jak wiadomo, znaczna część naszych przedsiębiorstw państwowych została w swoim czasie skomercjalizowana na podstawie rozporządzenia ramowego o komercjalizacji z dnia 17 marca 1927 r., bądź wyodrębniona z administracji na podstawie odrębnych aktów ustawodawczych (koleje, poczta, monopole, lasy państwowe). Mimo to po dziś dzień mamy do czynienia z jaskrawem uprzywilejowaniem gospodarki etatystycznej, co niesłychanie utrudnia, jeśli nie uniemożliwia utrzymanie jakiejkolwiek równowagi między uprzywilejowaną gospodarką publiczną i podlegającą wszelkim ciężarom gospodarką prywatną.

Oprócz rozległych przywilejów podatkowych przedsiębiorstwa państwowe korzystają bowiem u nas z przywilejów w dziedzinie zbytu produktów, zakupu surowców, zaliczkowania, dalej z przywilejów w dziedzinie kredytowej, ciężarów socjalnych; niekiedy — z bezpłatnej robocizny, (t. zw. warsztaty

szkolne), a nawet z przywilejów celnych (Państw. Zakł. Inż.) i publiczno - prawnych («Polmin»).

W rezultacie otrzymujemy obraz następujący: Gospodarka państwowa w Polsce przekroczyła w wielu kierunkach te rozmiary, jakie z uwagi na specjalne położenie Państwa mogły się wydawać uzasadnione. Powstało «popularne» dziś zjawisko «przerostów etatyzmu», które wyraża się niekiedy w tak jaskrawej formie, jak państwowa produkcja skrzyń, maszynek do mięsa, mebli biurowych, a nawet podobno szczotek do zębów, łyżek i pułapek na myszy (Państw. Wytw. Prochu w Pionkach). W ten sposób państwo stworzyło niepotrzebną konkurencję dla gospodarki prywatnej, która to konkurencja, uszczuplając pośrednio wpływy z podatków, nie zapewniła równoważnych korzyści Skarbowi Państwa, a jednocześnie, odbywając się w warunkach uprzywilejowanych, musiała się przyczynić do rugowania i zastępowania przedsiębiorczości prywatnej.

W tym stanie rzeczy potrzeba reformy naszej gospodarki państwowej w kierunku likwidacji nadmiernego etatyzmu poczęła być coraz powszechniej odczuwana. Opinja publiczna zajęła stanowisko silne i wcale jednolite. W rezultacie już w listopadzie r. z. p. wicepremjer Kwiatkowski zapowiedział «ograniczenie działalności etatystycznej», a ówczesny minister przemysłu i handlu dr. Górecki w grudniu tegoż roku wyraźnie stwierdził istnienie «wprost absurdalnych przerostów» w naszej gospodarce państwowej, które «muszą być natychmiast zlikwidowane».

Przygotowanie tych decyzyj zostało powierzone, jak wiemy, specjalnej komisji, powołanej do krytycznego zbadania gospodarki przedsiębiorstw państwowych, której prace pod energicznem kierownictwem p. ministra Olszewskiego posuwają się naprzód. Oczywiście, trudno dzisiaj przesądzać, jakie będą wyniki badań Komisji. Wydaje się nam jednak niewątpliwem, iż podjęta przez rząd rewizja gospodarki państwowej wykaże niezbicie:

a) potrzebę zlikwidowania zbędnych i szkodliwych przerostów w bezpośredniej działalności gospodarczej państwa,

b) zahamowania w drodze rygorów prawnych rozwoju etatyzmu na przyszłość, przyczem rzeczą specjalnie ważną będzie

c) zrównanie warunków pracy przedsiębiorstw państwowych i prywatnych oraz

d) zapewnienie — utrzymanej w rozsądnych granicach — jawności w gospodarce państwa — przedsiębiorcy.

Sprawa sprowadzi się więc ostatecznie do kwestji wykonania zaleceń, które będą miały za sobą — znakomitą większość opinji publicznej.

J. RAWICZ

Strzępy

MOTTO:

La France contient, dit L'Almanach Impérial, 36 millions de sujets, — sans compter les sujets de mécontentement.

Rochefort.

W wolnym przekładzie:
Francja zawiera, wedle cesarskiego almanachu, 36 miljonów przedmiotów rządzenia,— nie licząc przedmiotów niezadowolenia.

Jedno z naczelnych zadań epoki, to ustanowienie właściwego stosunku między swobodą działania jednostki a omnipotencją państwa.

Wiek XIX przechylał się ku biegunowi pierwszemu, wiek XX, powojenny, stacza się ku drugiemu.

W szczególności, w Stanach Zjednoczonych np., aż do wystąpienia Roosevelta, najbardziej nieokiełzany liberalizm wyrodził się w brutalne panowanie bankierów i — gangsterów. Rewolwer i dolar, niby dwa wytrychy, otwierały wszystkie zamki, podważały wszelkie prawa. Jednocześnie — les extrêmes se touchent — państwo, bezsilne i niezdolne do zapewnienia ludności bezpieczeństwa i ochrony wobec teroryzmu lada pięści, uzbrojonej w żelazo lub złoto, poczuło się natomiast powołanem i zdolnem do wdzierania się w najbardziej osobiste sprawy swoich obywateli, do regulowania ich jadłospisu, i, wprowadziwszy prohibicję, policyjnie kontrolowało wnętrza ich kredensów, szaf, piwnic i kieszeni.

Ten wyjątkowo absurdalny sposób pojmowania kompetencyj państwa i uprawnień jednostki doprowadził ogół prawie że do krawędzi katastrofy. Po załamaniu się dolara, poskromieniu gangsterów i zniesieniu prohibicji Ameryka szuka teraz swojej linji równowagi.

Inaczej sprawy ułożyły się w Europie. Tu momentem zwrotnym stała się wojna światowa. Ona to pokazała, jak łatwo jest operować masami ludzkiemi, skoro się je ujmie w tryby mechanicznej organizacji. Pamiętamy przedwojenne napisy na wagonach ciężarowych: 40 Mann o d e r 6 Pferde — 40 ludzi a l b o 6 koni — nabrały wymowy symbolicznej. Państwa totalne i półtotalne nigdyby się nie stały możliwe w świecie nowoczesnym, gdyby nie doświadczenia i — przyzwyczajenia wielkiej wojny, podyktowane wówczas przez niewątpliwe konieczności wojenne, — i najspokojniej potem przeniesione w erę pokoju.

Przytem «ideał» się udoskonalił: symbolizuje go już nie 40 ludzi a l b o 6 k o n i, ale 40 czy 60 czy 100 i więcej m i l j o n ó w ludzi a l b o jedna m a s z y n a.

Powiedział kiedyś Roman Dmowski, charakteryzując istotę kryzysu: «Im mądrzejsza się staje maszyna, tem głupszy staje się człowiek». Zapewne tak. A jak może być inaczej, skoro ideały maszyny i człowieka krzyżują się — maszynę chce się tak «udoskonalić», by zastępowała człowieka, człowieka zaś chce się «urobić» na obraz i podobieństwo idealnej maszyny? Bo na czemże polega swoista doskonałość maszyny, jeśli nie na jej absolutnej niepoczytalności? do czego się sprowadza jej swoista mądrość, jeśli nie do bezwładnego ślepego posłuszeństwa, czyli do absolutnej głupoty? Cóż więc dziwnego, że człowiek, podobnie jak i ogół ludzki, urabiany w kierunku takich ideałów, staje się coraz bardziej niepoczytalny, bezradny i głupi.

Jest to jeden z największych paradoksów naszej rzeczywistości. Ekonomiści, socjologowie, politycy zgodnie naogół stwierdzają w teorji, że jedną z przyczyn światowego kryzysu stało się wybujałe władztwo maszyny. I jednocześnie w praktyce czyni się wszystko możliwe, by także istoty ludzkie, z natury swej rozumne, czujące, wolne, twórcze i odpowiedzialne, uwolnić od «miazmatów» myśli samodzielnej i krytycznej, znieczulić, ubezwłasnowolnić, ogłupić i zniewolić, przemienić je także w automaty, uczynić z nich także kółka i tryby jednej wielkiej «idealnej» maszyny!

*

Nowoczesna etatyzacja, i związana z nią mechanizacja życia, szczególnie groźne spustoszenia szerzy w tym par excellence l u d z k i m zakresie działania, jakim jest dziedzina umysłowej i moralnej kultury. Myśl spętana przestaje być myślą. Sumienie ubezwładnione zamiera. Wobec postępującego w państwach totalnych i pół-totalnych procesu etatyzacji mózgów i sumień, człowiek, godny tego miana, staje wobec alternatywy: albo zrezygnuje z niezależnej własnej postawy wobec życia, albo znajdzie się poza nawiasem tego życia. Wynik w obu wypadkach rozpaczliwy i zabójczy: bo szczera, sumienna i konsekwentna postawa życiowa nie może nie dążyć do uzewnętrznienia się, a rezygnacja z istotnej niezależności wewnętrznej nie może w konsekwencji bliższej czy dalszej nie przemienić żywego odpowiedzialnego za swe czyny człowieka w martwy bezwładny automat.

I w rzeczy samej, przedstawiciele nauki, sztuki, myśli orjentacyjnej, działalności pedagogicznej, w państwach totalnych, przy etatyzacji kultury, strąceni zostają ze stanowiska twórczych, swobodnych i ofiarnych wychowawców narodu do roli mniej lub więcej zręcznych i zgranych trabantów i heroldów takiej czy innej, ale zawsze zgóry ustanowionej ideologji. A niech nas nie zwodzi fakt, że znajdują się wśród nich ludzie, którzy, czasem nawet z dobrą wolą, myślą, działają, tworzą, — i czasem nawet w pewnym zakresie działają skutecznie, z rozmachem... Jeżeli przytem nie wolno im wykroczyć poza takie czy inne, ale dowolnie, zgóry, wytknięte przymusowo granice, jeżeli tknąć im nie wolno takiego, czy innego mechanicznie narzuconego tabu, to w konsekwencji prędzej czy później spadają do poziomu ślepych koni, obracających się w kółko ciągle w tym samym kieracie. Bo każdy fałsz wewnętrzny, przyjęty i szerzony z powagą dogmatu, działa, jak ziarnko piasku w oku, utrudniając i wkońcu uniemożliwiając widzenie rzeczywistości, albo jak trucizna we krwi, zwolna rozkładająca żywy organizm.

*

Widomą ilustracją ostatecznych konsekwencyj takiego zupełnego moralnego rozkładu stał się proces trockistów. Żaden pies tak nie skomli, tak się nie łasi, nie pełza tak u stóp swego oprawcy, jak ci twórcy przecież niegdyś i wodzowie reżimu, którzy teraz przed sądem swoich eks-towarzyszy przyświadczali: Tak jest! jesteśmy nikczemni oszuści i kłamcy, jesteśmy podli zdrajcy, godni pogardy i kary!

Na mniejszą oczywiście skalę, nie mniej jednak g a t u n k o w o pokrewne rzeczy dzieją się np. w niemieckich obozach koncentracyjnych, sądząc choćby z ogłoszonych niedawno, przerażających w przedmiotowości swej i zwięzłości, relacyj p. J. Rogowicza w «Kurjerze Warszawskim». I tu mężczyź-

ni, w sile wieku, mówią sami o sobie — w obliczu swoich pogromców i obcych świadków — językiem steroryzowanych fizycznie dzieci, zachowują się na modłę wytresowanych batem i rewolwerem zwierząt.

Dreszcz przechodzi na myśl o środkach, jakie stosowane być muszą, by ludzi dojrzałych wtrącić w taką otchłań poniżenia, urągającą istocie człowieczeństwa!

A przecież te środki właśnie nazwano «wychowawczymi».

Wychowywać to znaczyło dotąd rozwijać w wychowankach—obok ofiarności i karności — takie cechy arcyludzkie, jak: samodzielność i odpowiedzialność, krytycyzm i sprawiedliwość, godność i wrażliwość, rzetelność i męstwo cywilne. Dziś wychowaniem nazywa się stosowanie owych straszliwych sposobów, zapomocą których te właśnie cechy się zabija.

Jakto — mówi Hamlet do dworaka, który w myśl otrzymanych instrukcyj miał go wybadać i urobić — nie umiesz zagrać na tym flecie, na tym kawałku drewna, a chcesz grać na mojej duszy?... Przedąć, rozstroić mnie potrafisz, ale zagrać na mnie — nigdy!

To też usłużni dworacy czynią to, co jedynie potrafią: — rozstrajają. I gorzej: rozbijają. Łatwo już potem zrównywać, glajchszaltować (bez żadnych prawych ni lewych «odchyleń») to, co zostaje po przeoraniu dusz ludzkich standardowym pługiem totalnego etatyzmu: rzeczy rozbite, rzeczy martwe,—strzępy człowieczeństwa, czyli: — przedmioty rządzenia,—nie licząc przedmiotów niezadowolenia.

Przypomnienia...

Wizje przyszłości u Krasińskiego.
Z poematu „Dzień dzisiejszy"

«Czem postępowość? — Nie zważać na prawa,
Kiedy gdzie jaka przyjęta ustawa
Celom się twoim na nic nie przydawa.

Czem znów genjalność? Ot, w jednym momencie
Przełamać naród w odmienne nagięcie,
I wciąż twórczości trzymając pochodnię,
Czuć się nad wyrzut wyższym i nad zbrodnię!

. . . .

Ni takiej znają niewoli na świecie
Ci, których Turek albo Chińczyk gniecie!
Przed komunizmu dopiero obliczem
Każden szczególnik w społeczeństwie—niczem!
Własność przepada — twe włosy, twa skóra
Nie twe, lecz Rządu — to mi Dyktatura!

. . . .

Myśl, pot, grosz wszystkich, przez władzy przetaki
Wciąż przelatuje — i władzy tartaki
Wciąż kraj piłują — ot, Centralizacja!

. . . .

Wprzód, niż krew, — pieniądz wojnę rozpoczyna.
W skarbie drga zwycięstw ukryta sprężyna —
A skarb oparty na dóbr konfiskacie!
Rząd gdy jedynym właścicielem będzie,
Zaraz się zjawi moc i pogrom wszędzie!
Ci wywłaszczeni wszyscy w jednej chwili
Jak lwy się będą — obaczycie — bili!
Nic tak człowieka w animusz nie wpędza,
Jak zwrot do stanu zwierząt — głód i nędza!
Mnie się to widzi lekarstwem jedynem!
Stare przysłowie: klin wybijaj klinem.
Więc dla mas wynajdź jakby kształt caratu,
Więc podnieś Moskwę jakby do kwadratu
A taką Moskwą obalisz Moskala.
Piekłem na piekło. — Tak Duch świat ocala...

I będzie świat cały
Nad grobowym progiem
Bez Boga!
Ostatnim mu Bogiem
Wszechtrwoga!
Przed strachu bałwanem
Zgniją ludzkie serca!
Wieku tego Panem
Kat — szpieg — i morderca»!

J. JEREMSKI

Związki Zawodowe na przełomie

Twórcy ruchu zawodowego robotniczego i pracowniczego ani przypuszczali, jakiemi drogami ten ruch się potoczy i że państwo kiedyś będzie decydowało o jego losie. Ruch zawodowy wyrósł z walki o poprawę bytu człowieka pracy, dziś stać się ma narzędziem, ułatwiającem państwowemu kapitalizmowi wyzysk tego pracownika. Bo w gruncie rzeczy kapitalizm, czy to prywatny, czy państwowy, będzie się zawsze bronił przed atakami pracowników i dążył w kierunku rozwoju naturalnego.

Walka pracy z kapitałem trwa oddawna, dotychczas jednak była to walka dwu sił społecznych i gospodarczych, które aczkolwiek musiały zazwyczaj liczyć się z interesami państwa, jednakże miały pewną swobodę działania. Państwo ingerowało dopiero wtedy, gdy walka przybierała na ostrości i zagrażała interesowi państwa, lub bezpieczeństwu publicznemu. Wprawdzie państwo częściej broniło kapitału, bowiem ustrój oparty był na potędze kapitalistycznej, musiało ono jednak liczyć się poważnie z siłą mas i walkę pracy z kapitałem łagodziło przez wydawanie odpowiednich ustaw o ochronie pracy, uwzględniając do pewnego stopnia potrzeby socjalne robotników.

W miarę jak walka pracy z kapitałem przybierała na ostrości, państwo ingerowało coraz częściej i wreszcie stało się nie regulatorem, lecz dyktatorem. Wywołały to obie strony: kapitaliści w celu pokonania zbiorowej woli mas, robotnicy, zgodnie z zasadami doktryn społecznych, dla odebrania kapitałowi charakteru prywatnego, wierząc, ciągle w myśl zasad programowych, że upaństwowienie fabryk stworzy raj na ziemi.

W ten sposób państwo stawało się coraz bardziej decydującym czynnikiem w walce pracy z kapitałem, a w miarę stopniowego upaństwawiania poszczególnych gałęzi przemysłu, przejmuje na siebie rolę kapitalisty prywatnego, z tem jednak pogorszeniem sytuacji dla mas robotniczych, że każde wystąpienie przeciwko kapitałowi, częściowo upaństwowionemu, częściowo jeszcze prywatnemu, staje się coraz bardziej wystąpieniem antypaństwowem. W Niemczech i we Włoszech, gdzie ingerencja w życie prywatne obywateli i w stosunki pracy do kapitału jest bardzo duża, i w Sowietach, gdzie wszystko zostało upaństwowione, wystąpienia robotników w celu poprawy bytu uważane są za działalność antypaństwową i jako takie są ścigane sądownie.

W tych warunkach związki zawodowe robotnicze i zrzeszenia pracownicze stają się zupełnie czem innem, niż to wynikało z ich teoretycznych założeń. Związki zawodowe nie mogą odgrywać roli organizatora i obrońcy, lecz stają się bezwolnem narzędziem w ręku nominowanych przez państwo kierowników. Wszelka akcja w celu zmiany warunków bytu robotniczego, podejmowana przez związki, wypływa nie z pobudek dobra robotniczego, ale z konieczności państwowych, które niezawsze są w zgodzie z interesem mas, przeciwnie, w czasach dzisiejszego rozrastania się potrzeb państwowych, potrzeby te są coraz większe i dla ich zaspokojenia państwo zwracać się musi do obywateli.

W Polsce ten stan rzeczy nie dorównywa jeszcze warunkom Niemiec i Włoch, daleko mu jeszcze do tego, co jest w Sowietach, ale uczyniono już w tej dziedzinie tak wiele, że samodzielność związków zawodowych tak samo staje się coraz bardziej problematyczna. U nas również już nie może być mowy o większej akcji zbiorowej mas bez ingerencji państwowej. Inspektorzy pracy mają jeszcze coś do mówienia tam, gdzie w grę wchodzą kapitały prywatne, ale już nic nie słychać o inspektorach w zakładach przemysłowych państwowych. Teoretycznie wszystko jest niby jeszcze po dawnemu, ale w rzeczywistości ani inspektor pracy, który zresztą jest urzędnikiem państwa, a więc urzędnikiem właściciela upaństwowionego przedsiębiorstwa, ani też związki zawodowe nie odgrywają tu prawie żadnej roli.

Ażeby związki całkowicie uzależnić od państwa, istnieje tendencja przymusu należenia do związków. Do przymusu tego zresztą prą tak samo i niektóre związki zawodowe, jak ZZZ, którego kierownicy rekrutują się z ludzi związanych ideologicznie z obozem prorządowym, tuszą sobie oni bowiem, że z chwilą przymusu ostaną się tylko związki, działające w zgodzie z interesami rządu, a więc w pierwszym względzie związki ZZZ i wtedy ich kierownictwo będzie spełniało rolę niejako ministerstwa pracy. Ale jaki z tego pożytek dla mas robotniczych? O to mniejsza.

Walka o przymus trwa w Polsce prawie od dwu lat i jeszcze przed rokiem była ona dość ostra, co miało swój oddźwięk w prasie. Ostatnio walka nieco przycichła, co wcale nie znaczy, że przymus, a tem samem i jednolitość związków zawodowych. oczywiście pod kontrolą państwa, została zaniechana. Przeciwnie tendencje do wciągnięcia w orbitę interesów państwowych całego ruchu zawodowego robotniczego i pracowniczego są coraz większe i w gabinetach działaczy politycznych mówi się o ich rychłem urzeczywistnieniu.

Wywoła to oczywiście ostry sprzeciw ze strony związków zawodowych, które mają łączność z ruchem partyjnym, czyli powstanie walka o znaczenie tych związków i ich rolę w życiu gospodarczem i społecznem państwa. Która z dwu stron walczących odniesie zwycięstwo, trudno przesądzać, ale jedno nie ulega wątpliwości, że ingerencja państwa warstwom robotniczym i pracowniczym pożytku nie przyniesie, bo wówczas związki będą działały nie tyle w interesie mas robotniczych, ile w interesie konieczności państwowych. Będą manekinami a nie życiem.

Świat pracy

Chałupnictwo krawieckie.

Najbardziej upośledzeni wśród ludzi pracy w rzemiośle i przemyśle są chałupnicy wszystkich zawodów. Oddani na pastwę losu, bez ubezpieczeń, bez zapewnienia jutra, traktowani są nie jako robotnicy, lecz jako dostawcy zamówionych robót. Roboty te jednak zamawiają u nich inni rzemieślnicy, którzy uważają siebie poprostu za klientów chałupniczych. Dlatego w chałupnictwie panuje tak straszliwy wyzysk, o jakim nie mają pojęcia ludzie pracujący w warsztatach rzemieślniczych, czy w fabrykach. Chałupnik zarabia bardzo często pół złotówki na dzień.

Temu stanowi rzeczy postanowiły położyć kres związki zawodowe poszczególnych zawodów. Walkę rozpoczęli chałupnicy krawieccy, których liczba w Polsce sięga stu tysięcy. W ostatnich dniach odbyło się w Warszawie zgromadzenie pełnomocników. Akcja w tym kierunku zepowiada się ostro, aż do strajku włącznie.

Wymowa statystyki.

Według obliczeń strat i zysków świata pracy w Polsce wynika, że ludzie pracy ponieśli w ostatnich latach olbrzymie straty, co musiało wpłynąć na obniżenie stopy życia. W przemyśle dużym i średnim przeciętny zarobek za godzinę w r. 1928 wynosił 0.94 gr., a w r. 1935 już tylko 0,73 gr. Spadek dochodów ludzi pracy ilustruje jeszcze dobitniej zmniejszenie sumy wypłat. Jeśli wypłaty te przyjmiemy dla r. 1928 za 100, to w pierwszych trzech kwartałach r. 1935 wartość wypłat wyniosła przeciętnie 47, czyli spadek sumy wypłat wyniósł 53%. Na przestrzeni lat 1929—33 suma dochodu dla ogółu robotników w zakładach prywatnych spadła z 3,5 miljarda złotych do 1,65 miljarda zł. czyli o 53%.

A jednocześnie w r. 1929 było więźniów 25.000, w r. 1934 już 55.000; zgonów na tyfus plamisty mieliśmy w r. 1926 tylko 146, podczas gdy w r. 1934 już 303 i w takim stosunku mniej więcej zwiększyły się zgony na inne zakaźne choroby.

Moralne kwalifikacje pracowników

Obecnie Izba Cywilna Sądu Najwyższego ogłosiła zasadnicze orzeczenie w sprawie zwolnienia z pracy z powodu ujawnienia okoliczności świadczących o braku kwalifikacyj moralnych pracownika. Zatajenie przez pracownika umysłowego przy zawieraniu umowy o pracę, że został zwolniony z poprzedniej posady za nadużycia, stanowi ważną przyczynę, upoważniającą pracodawcę do niezwłocznego rozwiązania stosunku służbowego bez prawa do trzymiesięcznego odszkodowania.

Urzędnicy państwowi też narzekają

Nietylko kolejarze, nietylko pracownicy różnych gałęzi przemysłowych, ale i urzędnicy państwowi przystępują do akcji zmierzającej do poprawy ich bytu. Ostatnio Stowarzyszenie urzędników państwowych zwróciło się do sekretarjatu p. premjera Składkowskiego z prośbą o wyznaczenie audjencji w związku z układem nowego preliminarza budżetowego na rok 1937/38.

Delegacje urzędnicze zabiegać będą o przeznaczenie w nowym budżecie specjalnych dotacyj państwowych na zwrot wpisów szkolnych za dzieci urzędników przedewszystkiem, a potem o polepszenie doli urzędniczej wogóle.

O poprawę bytu kolejarzy

Jeszcze przed niedawnym czasem obniżka płac była objawem tak powszechnym, że pracownicy znosili ją bez szemrania. Liczyli się z koniecznościami budżetowemi państwowemi, samorządowemi, czy nawet przedsiębiorstw prywatnych. Obecnie daje się zauważyć prąd idący w kierunku odwrotnym, a mianowicie dążący do podwyżki płac, które w Polsce stoją istotnie na poziomie bardzo niskim.

Liczne związki i organizacje pracownicze podjęły ostatnio starania o polepszenie bytu świata pracy. Tak samo uczynili kolejarze, których liczba przekracza 140.000 ludzi. Kolejarze wynagradzani są w niektórych kategorjach gorzej od pracowników administracji publicznej.

Kolejarze podzieleni są na 14 grup, z tego zaledwie około 2000 osób pobiera wynagrodzenie ponad 335 złotych miesięcznie, reszta t. j. przeszło 98%, inaczej mówiąc 139.000 osób, pobiera płacę poniżej 300 złotych miesięcznie. W tej liczbie przeszło 87.000 osób zarabia od 100 do 150 zł. za wielogodzinną nader wyczerpującą pracę.

Zawodowe pisma kolejarskie, oświetlając niedolę pracownika kolejowego, piszą, że warunki egzystencji dosłownie dewastują środowisko kolejarskie. Nie może być tutaj mowy ani o konsumcji, ani o podnoszeniu dzieci na wyższe poziomy przygotowania życiowego, ani o higjenie mieszkań lub o potrzebach kulturalnych. Związki kolejarskie tedy żądają zniesienia podatku specjalnego, który choć nałożony został na okres dwu lat, powinien być już teraz cofnięty w stosunku do niższych grup uposażeniowych, trzeba przeprowadzić zmianę radykalną przez dobrze pomyślaną i na społecznych oraz gospodarczych podstawach opartą zmianę przepisów uposażeniowych. Te same pisma związków kolejarskich stwierdzają, że przepisy kolejowe tyczące ustawy uposażeniowej są złe, wadliwe i gospodarczo ujemne.

TEATR

J. LESZCZYC

Ni pies ni wydra

Jeśli, jak to stwierdziliśmy w jednym z poprzednich numerów «Odnowy», teatr jest szczególnie upośledzony przez kryzys gospodarczy, będąc dziedziną sztuki najbardziej kapitalistyczną, a właśnie w ten typ organizacji kryzys najmocniej uderzył, to z faktu tego trzeba wyciągnąć nieuchronne konsekwencje.

Teatr przedwojenny oparty był finansowo przedewszystkiem na frekwencji publiczności; myliłby się, ktoby sądził, że deficyty teatralne są zjawiskiem, które przyniosła dopiero wojna, ale deficyty te były czemś, dającem się wytłomaczyć albo wyjątkowo wysokim poziomem artystycznym teatru albo wyjątkowo niskim poziomem jego administracji; tak czy inaczej było to wyjątkiem. Dziś deficyt teatralny jest u nas regułą od długich lat. Teatr jednak nie może «żyć z niedzieli», jak to czyni znaczna część kupiectwa; żyje więc z subwencji, a że mecenasów dziś niema, więc żyje z subwencji skarbu publicznego (państwowego bądź samorządowego).

To poparcie nie ma ani trochę charakteru kapitalistycznego. Nie jest to pomoc, zmierzająca do usanowania gospodarki teatralnej, po którem szłaby ona o własnych już siłach. Bynajmniej; pomoc publiczną uważa się za zjawisko stałe; bez niej dziś już nikt nie chce brać za prowadzenie teatru odpowiedzialności.

Gospodarczo tedy jest teatr dziś (mówię, oczywiście, o teatrach większych, mających t. zw. obowiązki kulturalne) instytucją, opartą na zasadzie gospodarki przedsiębiorstwa publicznego, a nie prywatnego. Zatem zwolniony jest w znacznym stopniu od finansowej zależności od frekwencji. Ten stan rzeczy musi mieć znaczenie decydujące dla roli, jaką teatr ma spełniać. Teatr, utrzymywany w dużym stopniu z pieniędzy publicznych, musi pracować w imię publicznych celów. To znaczy służyć nie dającej się jeszcze ująć z prywatnego punktu widzenia potrzebie artystycznej; musi wyprzedzać bieg świadomości estetycznej przeciętnego widza, śmiało stawiając mu przed oczy wizję rzeczywistości przyszłej, jeszcze nie potrzebną, ale już upragnioną. Praca teatru oparta być musi na tem widzeniu przyszłości społecznej, jakie daje tylko patrzenie z wyżyny interesu publicznego.

Nasze teatry, oparte na subwencji publicznej, w szczególności teatry T. K. K. T. w Warszawie, prowadzą jednak swą artystyczną gospodarkę zupełnie inaczej. Gospodarka ta jest gospodarką wybitnie — kapitalistyczną. Obliczona jest na doraźny sukces. Nastawiona na zadowolenie codziennego konsumenta. Konsumenta dzisiejszego. A dzisiejszy, to znaczy dla teatru, któryby pragnął iść naprzód — wczorajszy. Ci wczorajsi konsumenci mogą zapełniać widownie i mogą zapełniać kasy. Ale im więcej taki widz wnosi do kasy pieniędzy, tem mniej usprawiedliwione są pieniądze publiczne, które się w niej już znajdują.

Nasze teatry t. zw. miejskie stwarzają więc najżałośniejszą syntezę gospodarki prywatnej i publicznej; oparte na publicznym pieniądzu, prowadzone są tak, jakby je prowadził prywatny przedsiębiorca, by nie powiedzieć, że gorzej (zestawmy je choćby z niektóremi sezonami teatru Jaracza).

Wyrazem tej dwoistości, jednoczącej z każdego typu gospodarki akurat jej złe strony, jest formalny charakter organizacji warszawskich miejskich teatrów dramatycznych. Teatry te prowadzi T. K. K. T., organizacja «społeczna»; prowadzi je w oparciu o subwencję zarówno bezpośrednią, jak i ubraną w formę «zakupionych przedstawień». Zatem T. K. K. T. samo w teatry nic nie wkłada. Czemże zaś jest T. K. K. T.?

Owo Towarzystwo krzewienia kultury teatralnej wydawaćby się mogło wielką organizacją, która w imię swej, długoletnią pracą ustalonej siły moralnej bierze ciężar tego, czego nie mogła udźwignąć biurokracja miejska. Tymczasem jest to zrzeszenie kilkunastu dygnitarzy, zawiązane specjalnie po to, by objąć w dzierżawę teatry. Więc może «Towarzystwo», skupiające nieliczne grono ludzi, daje jakąś gwarancję finansową? Gdy teatry przestawał prowadzić p. Krzywoszewski, podnoszono poważny zarzut przeciw magistratowi, iż oddał mu je bez finansowego zabezpieczenia. Jakie zabezpieczenie dało miastu T. K. K. T.?

Jeśli przypadkiem nie dało żadnego, to kto za teatry odpowiada? Kto odpowiada nietylko materjalnie, ale i moralnie? Jeśli jest w teatrze prywatny dzierżawca — wiadomo. Jeśli teatry są prowadzone wprost przez miasto lub państwo — też wiadomo. Kto odpowiada za teatry, gdy de facto prowadzi je miasto z państwem, a de nomine «organizacja społeczna», poza tem zgoła nie istniejąca?

Za teatry nie odpowiada u nas nikt. To jest praktyczny skutek owego osobliwego wstydliwego etatyzmu, jaki tam przed dwoma laty zainstalowano. Ów wstydliwy etatyzm, który coraz produkuje jakieś «społeczne» organizacje, będące szyldem biurokracji, jest szczególnie szkodliwy w publicznem przedsiębiorstwie. Czy wyobrażamy sobie, by pocztę np. oddano w zarząd jakiemuś «Towarzystwu popierania korespondencji pocztowej» lub kolej «Towarzystwu krzewienia kultury komunikacyjnej»? Może być kolej prywatna, może być państwowa; ale kolej, w którejby utrzymywano prywatny bałagan za państwowe pieniądze jest czemś, czego jeszcze nie było. Teatry zaś uznano za teren, na którym taką «organizację» właśnie wprowadzić można.

S. ŚWIDERSKI

Elektron upaństwowiony

Gronkowiec złocisty (stafilococcus aureus), źródło przynajmniej połowy wszystkich ran i wrzodów ropnych, posiany, naprzykład, na buljonie daje szczep słaby i chorowity, ale zaszczepiony myszy stwarza kulturę dorodną i silną. Na tej podściółce wyhodowany pozwala się badać dobrze i daje obserwacje najciekawsze. Takim buljonem dla etatyzmu jest naprzykład poczta, gdzie niewiele znajduje on pożywki i podłoża do bujnego rozrostu. Taką myszą — radjo. Tam w promieniu zasięgu elektronów rozrasta się bujnie, znajduje tkankę, na której panoszy się i pleni stokrotnie, stwarzając kolonje silne i zdrowe. Że mysz przytem słabuje i wreszcie ginie — jest to już sprawa obojętna. Dobrotliwa natura, przy odpowiedniej atmosferze, umożliwia mu przerzut na inne twory i organy społeczne, gdzie drobnoustrój ten tworzy nowe szczepy mniej lub więcej jadowite.

Postaramy się zbadać postać gronkowca etatystycznego właśnie na organizmie radjowym, zakładając zgodnie z prawdą, że przeszczepiono go tam z buljonu t. j. z poczty, gdzie rozrastał się słabo i dawał szczepy anemiczne. A poczta za to była i jest zdrowa.

Celem każdego biurokraty, wszczepionego w najsilniejszy nawet organizm upaństwowiony, jest zasługiwać się jaknajbardziej partji będącej przy władzy i brać pensję co pierwszego, a remunerację przynajmniej co kwartał. Organizm na którym on żyje, obchodzi go bardzo mało, tyle co kornika sosna, pod której korą się wylągł. Ale biurokratyczny zarząd musi usprawiedliwiać swe istnienie i wykonywać ruchy, które by świadczyły o jego żywotności.

Co więc robi? Tworzy naprzykład program radjowy na pół roku zgóry t. zw. «letni» i «zimowy», bo tak naprzykład było dawniej, gdy był na kolejach, gdzie przywykł do rozkładu jazdy, lub na poczcie, czy w lasach państwowych. Gdyby kazać genjalnemu redaktorowi ułożyć ścisły plan numerów dziennika na pół roku naprzód, toby się tego nie podjął, bo przedewszystkiem nie jest w stanie przewidzieć, co się będzie działo pojutrze, ani co będzie porywało czytelników czy widzów za tydzień. Biurokrata z «rady programowej» też nie wie, ale go to nic a nic nie obchodzi. Więc robi program i to bardzo ścisły. Tem ściślejszy, im mniej się na tem rozumie: 59.17% muzyki «czystej» (autentyczne), 14.02% audycji «mieszanej», 26% audycyj słownych i 0.81% sygnałów dźwiękowych. (Wszystko autentyczne). Potem biurokrata wymienia: będzie transmitowanych sześć oper, sześć koncertów symfonicznych, piętnaście kącików i dwanaście «chwilek». Co zapowiedź, to nonsens. Przecież może tymczasem ukazać się znakomita siódma opera, przed którą Europa uklęknie z podziwu, a ci, co jej nie znają, będą chcieli ją poznać przez radjo. Biurokraty to nic nie obchodzi. Na jakiś tam nieszczęśliwy koncert, przeważnie wyznaczany na piątek, dla tem skuteczniejszej walki z Filharmonją, przypadną może ważne wypadki, ważniejsze może niż przecięcie wstęgi przy uroczystem otwarciu mostu na Słupi. Przypuśćmy: prapremjera jakiegoś gienjalnego dramatu — a radjo, kierowane przez biurokratę zgodnie z literą programu i wyliczonymi 59-ioma (z ułamkiem) procentami «muzyki czystej», da wtedy koncert symfoniczny lub w najlepszym razie ustąpi pierwszeństwa mostkowi, bo mostek będzie otwierał naprz. pułkownik-minister, a autorem lub tłumaczem dramatu będzie naprz. Strug, lub Nowaczyński.

Wogóle biurokrata, ex-pocztowiec, czasem nawet doskonały pocztowiec, albo ex-pułkownik, czasem nawet świetny taktyk wojskowy, w radjo i wogóle wszędzie «woli» swoich t. j. ex-wojskowych, ex-kolejarzy, ex-pocztowców i t. d. Ale ci, nawet jeżeli są doskonałymi fachowcami w swoim zawodzie (co też nie zawsze bywa), nie mają w radjo zastosowania. Ale biurokrata im je wynajduje: każe im pisać słuchowiska, prowadzić transmisje i co najgorsza wygłaszać pogadanki. A tymczasem oni powinni prowadzić manewry. Więc możeby Nowaczyński zaczął dowodzić defiladą strzelców podhalańskich, a Fitelberg eskadrą samolotów myśliwskich?

Ale biurokrata o tem nie myśli. On wierzy w uniwersalność swoich ludzi. A jeśli nie wierzy, to tę wiarę udaje. Ale tych ludzi ma mało. Nic to! Dobrze jest. Biurokrata radjowy jest tego pewny! Przecież «cała Polska śpiewa»!

Ta cała Polska śpiewająca jest zresztą nie tylko niefortunnym, djablo niefortunnym, terminem. Pod Nowosielcami nie śpiewała, a jeśli śpiewała, to utwory, nie nadające się do transmisji, w majątku Akademji Umiejętności też nie, w Hrubieszowskiem niebardzo... Ale już mniejsza o to: biurokrata zgleichschaltowany do szpiku kości myśli kategorjami szufladkowemi. Jak ktoś dowcipnie powiedział, gotów jest «kącik ortograficzny» nazwać «cała Polska pisze», poradnik dla dójek — «cała Polska doi...» i t. d. Idzie mu o uproszczenie. Wszak doskonale wyszkoleni wojskowo Niemcy, w czasie wojny też upraszczali sobie niektóre prace: w Warszawie wydawali «Godzinę Polski», w Bruksellі «L'heure de Belgique»...

Myliłby się jednak ten, coby sądził, że biurokrata radjowy jest zadowolony z wyników swej pracy. Jest z niej dumny, i przechwala się nią przy każdej okazji, ale nie jest zadowolony. Czegoś mu brakuje do szczęścia. Ano drobiazgu! Ludzie niebardzo chcą słuchać jego radja i jego na miarę pocztyljona sfabrykowanych programów. Nie żywych, lecz urzędowych. Według szablonu. Według okólnika. Na rozkaz. Byle się nie narazić. Byle nic bezstronnego nie zadźwięczało w głośniku.

Bezstronnego!—to najbardziej niepokoi nie tyle jałowy, co wyjałowiony mózg biurokraty. Chciałby, ach, jakby chciał złożyć swej władzy raport, że liczba abonentów znacznie wzrasta, że procent radjo-słuchaczy zbliża się do niemieckiego, lub francuskiego, ale nie może. Boi się tego, że jest ich nie wielu, umiałby może, słuchając dobrych rad, jednym zamachem podnieść ich liczbę o 50%, ale wie, że jeszcze bardziej boi się otworzyć drzwi zatęchłej piwniczki w której siedzi, i wpuścić trochę światła i świeżego powietrza, a zwłaszcza talentów z pośród «nie swoich». A u «swoich» go nie znajduje.

Więc knsi abonentów konkursami na zgadywanego, robi loterję z «Austinem», z superheterodynami, zapominając, że na nich właśnie najłatwiej słuchacz może wyzwolić się od własnego radja i słuchać wszystkich innych. Przytem biurokrata miota się. Chce coś genjalnego wypocić i wymyśla projekt przymusu radjofonicznego. Pisze nawet o tem w swym organie. Pisze, niestety, serjo... Artykuł wstępny!

Chciałby ulepszyć radjo-odbiorniki. Z niepokojem i z odrazą patrzy na jeden szczególik każdego odbiornika: na wyłącznik. To jego wróg, z pomocą którego każdy abonent może się w każdej chwili wyłączyć, ilekroć go program radjowy nudzi, albo złości, zawsze, ilekroć razy prelegenci radjowi obrażają jego, albo jego poglądy.

Tak to żyje na biednej myszy ten drobnoustrój. Rozrósł się do wspaniałych rozmiarów. Powymyślał i potworzył u siebie wydziały, których same nazwy budzą śmiech. Wszystko obsadzone, wszędzie nadkomplet, prawie wszędzie «swoi». Rozrodczość bujna i wspaniała! Nieliczna zdrowa tkanka, fachowców bez głosu, bez wpływu, bez znaczenia... Mysz gwałtownie chudnie.

A szkoda! Gdyby nie gronkowiec złocisty, gdyby nie monopol, tworzący brak wszelkiej konkurencji, która zawsze i wszędzie, jak każde współzawodnictwo, jest najwspanialszym bodźcem rozrostu nie drobnoustrojów, lecz myszy, mogłaby biedna mysz rozrosnąć się wspaniale i przekształcić na Pegaza. Tenby dopiero był dumą i ulubieńcem całej Polski, a nawet — w drugim rzędzie — doskonałym instrumentem propagandowym, mogącym służyć państwu i każdemu rządowi. Nawet temu.

J. BONIECKA

Muzyka państwowa

Zdajemy sobie wszyscy sprawę z tego, że ingerencja państwa w jakąkolwiek dziedzinę życia społecznego ma znaczenie kolosalne, a nierzadko decydujące dla jej rozwoju. Ważne tu są zarówno wpływy materjalne, jak i opieka moralna, podnosząca znakomicie autorytet danych zagadnień w oczach społeczeństwa. Mówiąc o stosunku państwa do spraw muzyki, myśli się mimowoli o państwowych, znakomicie prosperujących scenach operowych naszych sąsiadów zachodnich, o każdorazowej obecności Hitlera na otwarciach uroczystości Bayreuthu, o przedstawieniach «Śpiewaków Norymberskich», wchodzących urzędowo w program Reichsparteitagu, o oficjalnej sekcji muzycznej «Hitler-Jugend», organizującej corocznie zjazdy z poważnemi referatami i koncertami. Najchętniej zaś chciałoby się zapomnieć o absolutnem zlekceważeniu, zlekceważeniu upokarzającem i kompromitującem (ale kogo?), jakie okazują t. zw. władze dla spraw muzyki w Polsce. Odnosi się wrażenie, że drobne sumki, jakie państwo na cele muzyczne przeznacza, są przemocą wyproszone, nieomal wyżebrane przez garstkę ludzi, których głos, wołający na puszczy, staje się niekiedy tak dokuczliwy, że trzeba go jakąś jałmużną przytłumić. Zaś o jakiemkolwiek poparciu moralnem, o jakiemkolwiek istotnem zainteresowaniu tą sprawą tak wspaniałą i bogatą, że może ona nietylko ozdobić, ale i wypełnić najpiękniej życie każdego kulturalnego człowieka — o tem niema nawet mowy. Dziwny to jest i smutny zarazem

pech, że nigdy dotąd nie zazębiły się prawdziwie o siebie te dwie grupki ludzi: tych, którzy rządzą krajem i tych, którzy kochają muzykę.

Zrezygnowawszy zatem — tymczasem — z poparcia moralnego, pomówmy o materjalnem. Budżet referatu muzycznego w Wydziale Sztuki przy Ministerstwie W. R. i O. P. nie dochodzi do cyfry siedemdziesięciu tysięcy złotych rocznie. W sumce tej mieszczą się państwowe nagrody muzyczne, stypendja, ingerowanie w prywatne szkolnictwo muzyczne, sprawy wydawnicze, subwencje dla orkiestr, chórów i t. p. Niedawno usłyszałam gorzkie zdanie, że gdyby pojawił się w Polsce muzyk o genjuszu, równym Beethovenowi i przedstawił dzieło o wartości, równej jego piątej symfonji, to ministerstwo nie mogłoby, niestety, pomóc mu w wydaniu drukiem tego dzieła. Łatwy argument o braku pieniędzy, o potrzebie zużytkowania ich na ważniejsze (gdzież tu probierz?) cele, nietrudno obalić. Nie sięgajmy już do zestawień z pałacem Brühlowskim; sięgnijmy do dziedzin bliższych omawianej sprawie. Pomyślmy o wielotysięcznych pensjach władców Polskiego Radja. I co wtedy? Co tu okaże się ważniejsze?

Przytoczyliśmy tu dlatego Polskie Radjo, że jest to jedna z niewielu państwowych instytucyj muzycznych. Ściśle mówiąc — jest to państwowe przedsiębiorstwo. Trudno połączyć ze sobą dwa te terminy: przedsiębiorstwo i muzyka. I dlatego to pewnie muzyka w Polskiem Radjo jest taka właśnie, jaka jest, choć przedsiębiorstwo to jest przecież wcale niezłe. A możliwości, leżące w ręku tej instytucji: bogatej, sięgającej wszędzie — są kolosalne, niemal, że nieograniczone. Drugiem, już nie przedsiębiorstwem, ale drugą instytucją są Państwowe Konserwatorja Muzyczne. Przeciętna pensja profesora dorównywa tu sumie miesięcznych zarobków niewykwalifikowanej urzędniczki biurowej. Jeśli mimo to polskie Konserwatorja Państwowe stoją na wysokich poziomach, to dzieje się to dzięki ofiarnej, ideowej pracy ludzi, służących tam muzyce. A praca ofiarna i bezinteresowna są to terminy brzmiące dziś raczej obco i niezrozumiale...

Jest przecież jedna dziedzina spraw muzycznych, pozostająca pod troskliwą opieką państwa. Opieką materjalną i moralną. To muzyka wojskowa. Rezultat tego zainteresowania jest oczywisty i nie dający się zaprzeczyć: orkiestry wojskowe stoją naogół na bardzo dobrym poziomie. Więc jednak? Więc jakaś muzyka jest przecież ważna i potrzebna? Sprecyzujmy, na czem polega jej waga, dlaczego jest tak bardzo potrzebna. Żołnierz, maszerujący w jej takt, zapomina o zmęczeniu fizycznem. W żołnierzu, idącym do walki, potrafi muzyka obudzić najcenniejsze na świecie (upieramy się przy tym superlatywie!) uczucia: odwagę i siłę psychiczną. Zsumujmy raz jeszcze, żeby już wszystko było jasne: muzyka zdolna jest wlać siły fizyczne, obdarzyć zapałem i męstwem, a więc stworzyć najistotniejsze składniki bohaterstwa. I co jest innego na świecie — poza ekstazą religijną — coby posiadało tak fantastyczną moc?

Przerzućmy teraz most między prostą piosenką o rozmarynie, a... symfonją Brahmsa. A droga nie jest daleka. Równa się tylko przestrzeni, dzielącej nieskomplikowaną psychikę żołnierza od psychik nieco więcej złożonych. I czemuż to my, biedni cywile, mamy być odsunięci od tego źródła siły i od tych bezcennych bogactw, które czerpanie zeń daje?

«Wśród ryku dział, wśród karabinowego ognia... trąby i trąbki biją w niebo hymnem, od którego każda kropla krwi skacze w ich piersiach... Ogarnia ich zapał, ogień bije im na twarze... A Bartek... gdy usłyszał ową muzykę, to każda żyłka wyprężyła się w nim, jak drut żelazny. Włos stanął mu dębem, a z oczu skry poszły... Onby teraz samego Lucyfera brał za rogi». To słowa z sienkiewiczowskiego «Bartka Zwycięscy».

W trudnem, złem życiu czyhają na nas wszystkich sprawy niemniej może ciężkie, niż ryk dział i ogień karabinowy. I równie wiele siły do walki z niemi, a zarazem siły do zwycięstw da nam owa Muzyka przez wielkie «M», jak wiele daje jej żołnierzowi w walce fizycznej—prosty «Rozmaryn».

Gdzie państwo wkracza z pożytkiem ogółu

Wiele jest dziedzin pracy i wytwórczości, w które państwo wkracza niepotrzebnie, usiłując zastąpić własnych obywateli w wytwarzaniu np. radjosprzętu, prowadzeniu teatrów, w gospodarce leśnej etc., podważając tem ich samodzielność, prawo własności i sposób zarobkowania. Istnieją jednak i takie dziedziny, w których państwo pracuje skutecznie z pożytkiem dla dobra ogólnego, odciążając obywateli. Takim działem interwencji jest naprz. sądownictwo i wymiar sprawiedliwości. Pozostawanie tego wymiaru w rękach obywateli, jak to miało miejsce jeszcze w końcu ub. stulecia w niektórych stanach Ameryki półn., jest odciąganiem ich od ich pracy właściwej. Rolnik porzucał pług, mechanik swe imadło i albo ruszali w pościg za zbrodniarzem, który napadł ich osiedle i wykonywali na nich samosąd, albo też — w bardziej ucywilizowanej formie — tracili całe dnie lub tygodnie, zasiadając jako sędziowie na ławie przysięgłych.

Jeżeli, — za czem przemawia niejedno spostrzeżenie, uznać ingerencję państwa za zdrową w tych dziedzinach, w których obywatele nie mogą skutecznie pracować, a za szkodliwą w tych, gdzie zdrowe społeczeństwo zupełnie sobie wystarcza, to łatwo jest wydedukować, jakie tereny nie nadają się do okupacji i aneksji «państwowej». Nie nadają, przynajmniej, we własnym kraju i podczas pokoju. Można również dostrzec łatwo jakie są do tego predenstynowane, choć ta sprawa od stopnia rozwoju obywatelskiego narodu.

Weźmy przykład krańcowy: Norwegję. Piszący te słowa zetknął się w ubiegłym roku z pewnym inżynierem — przedsiębiorcą drogowym w Norwegji. Przedsiębiorca drogowy był w trakcie opracowywania planów budowy pewnej drogi asfaltowej, długości ok. 35 km., którą miał na własny koszt i ryzyko budować. Pytałem go, czy państwo mu w tem nie przeszkadza. Spojrzał na mnie zdziwiony. Okazało się, że pomaga, dało mu bowiem prawo wyłącznej eksploatacji na tej drodze swoich autobusów przez 50 lat.—Kiedy pan zwróci sobie koszty budowy — spytałem. — Za 39 lat, jeżeli ruch będzie się tak wzmagał, jak to przewidujemy. Po 39 latach wszystko, co przyniosą autobusy, będzie moim czystym zyskiem.—Mój inżynier wyglądał na 50 lat, delikatnie dałem mu do zrozumienia, że może nie doczekać owoców swej pożytecznej pracy. Znów się zdziwił. — No tak — odparł — to już otrzyma mój syn.

— A jeżeli do tego czasu rząd cofnie pański przywilej, lub zastosuje wyższe podatki?

— Podatki uchwala parlament, a przywilejów u nas się nie cofa, chyba przy pozbawieniu praw...

Ten przykład, ściśle autentyczny, jest jednak krańcowy. W państwach, gdzie liczenie na zysk po 39 latach byłoby lekkomyślnością, inwestycje tego rodzaju musi robić rząd. Tak też jest i u nas, a bezstronność każe przyznać, że w ostatniem kilkuleciu budowę dróg o nowoczesnej nawierzchni prowadzono intensywnie i bez stosowanych dawniej eksperymentów «wynalazczych». Tak naprz., dzięki skoordynowanym wysiłkom władz państwowych powstała dokoła Warszawy sieć dróg o nowoczesnej nawierzchni, przeważnie asfaltowych, z kostki bazaltowej, klinkerowych lub betonowych. Zasięg tych dobrych szos dochodzi od 13 do 80 km. w promieniu Warszawy i odpowiada raczej mniej, niż więcej granicom województwa warszawskiego.

Oczywiście, zbyteczne jest motywować pożytek szosy, która służy wszystkim bez różnicy stanu, płci, wyznania i przekonań politycznych. Warto jednak przytoczyć pewne dane cyfrowe, drobne, ale jakżeż znamienne: cielak trzytygodniowy, który zdala od szosy, sprzedawany pośrednikowi «na oko» osiąga cenę 7 do 8 złotych, dowieziony do Warszawy i sprzedany na wagę w warszawskiej kasie targowej płacony jest 26 do 30 złotych. Tę różnicę i wiele, wiele podobnych daje dobra droga. Takich dróg wybudowało państwo w okręgu podstołecznym już ok. 200 km. Licząc najtaniej, wydano na to przynajmniej kilkadziesiąt miljonów, z których cząstka tylko wpłynęła do kamieniołomów i asfaltowni. «Gros» wydatkowano na przewóz materjałów (furmanki) i robociznę. A wydane sumy prawpopodobnie już w połowie zwróciły się adjacentom.

Tu też ingerencja państwa da plon stokrotny i rzetelny. Tu jest właśnie typowy przykład nadrzędnej działalności państwa, które podejmuje zadania ponad siły dla kapitału drobnego i stwarza różnorodne korzyści dla obywateli.

A więc i dla siebie.

Q.

Sprostowanie. W poprzednim numerze w art. „Rewolucjonista z cylinderkiem" szpalta 3, wiersz 4 powinno być: „na tle np. parkowem".

Przegląd Prasy Krajowej

Ustalmy fakty

(R.) W nr. 5 Odnowy daliśmy wyraz oburzeniu, gdy Warszawski Dziennik Narodowy ogłosił, że w Łodzi głosowały wspólnie „front Morges i sanacja". Już sam fakt oburzenia, czego niepodobna motywować szerzej ze względów dobrze znanych pismom opozycyjnym, powinien wystarczyć. Tymczasem Warsz. Dzien. Narodowy nie chce zrozumieć i ustala przedziwne fakty.

Naprzód założenie:

„Po pierwsze, — co to jest „Front Morges"? Nie jest to organizacja o ustalonych formach, statucie, ściśle określonej przynależności członków i t. d. Jest to formacja luźna, której nazwa utarła się potocznie, nadana jej raczej przez przeciwników. „Frontem Morges" zaczęto nazywać ugrupowanie polityczne, luźne, ale o obliczu politycznym, zarysowanym zupełnie wyraźnie, którego narodziny miały miejsce na naradzie pp. Paderewskiego, Witosa, Hallera i in. w Morges, a którego elementami składowymi są: Chadecja, N.P.R. i Ludowcy (Piastowcy)".

Co zdanie, to błąd, co błąd, to złośliwy. Jedno jest tylko słuszne, że nazwa została nadana „raczej przez przeciwników". Narada ludzi, otoczonych powszechnym szacunkiem, zamienia się na formację o wyraźnym zarysie politycznym. My o tem nic nie wiemy, jakkolwiek posiadamy informacje bezpośrednie, ale Warsz. Dzien. Narodowy wie i ustala fakty. Wie również, jakie są elementy składowe owej formacji, a my znowu nic o tem nie wiemy, jakkolwiek z prezydjami partyj politycznych mamy łączność. Czy nie słuszniej byłoby napisać, że w rozmaitych stronnictwach (nie wyłączając „narodowego") są rozsiani ludzie, którzy szanują, ufają, a nawet liczą na Paderewskiego, Witosa, Hallera? Czy nie lojalniej byłoby ogłosić, że w Łodzi „Chadecja i N. P. R. głosowały wspólnie z takiemi to ugrupowaniami sanacji", poczem rozważyć protest i wyjaśnienie, podane chociażby w Obronie Ludu?

Niedość na tem. W następujących wnioskach przytoczone są te jedyne przyczyny, dla których pewne elementy „frontu Morges" nie wzięły udziału w wyborach razem z sanacją.

„Ludowcy nie wzięli, ponieważ ich w Łodzi nie ma. Pp. Paderewski, Witos i Haller również nie, ponieważ nie są obywatelami Łodzi".

Bo gdyby byli obywatelami Łodzi, to łatwo się domyśleć... Tak. To jest lojalność, to jest właśnie ta wstrzemięźliwość słowa, zalecana nam przez Warsz. Dzien. Narodowy. Może i w aferze Parylewiczowej wyżej wzmiankowani nie brali udziału, **ponieważ** nie są obywatelami Krakowa?

Zresztą, możemy służyć przykładem rzeczywistym. W lubelskiem odbył się pogrzeb policjanta, zabitego podczas rozruchów, ś. p. Urbana. W pogrzebie wziął udział premjer Składkowski i, pomiędzy innymi, p. Rzewuski, ziemianin, wybitny przedstawiciel Str. Narodowego. Wygłosił nawet mowę. Otóż, co powiedziałby Warsz. Dzien. Narodowy, gdyby ogłoszono bez komentarzy: „Rząd i Endecja manifestują wspólnie"? Czy nie byłby to skrót fałszywy, wymyślony „raczej przez przeciwników"?

No, o to właśnie chodzi.

W Hiszpanji: masony i — front narodowy

Hiszpanja nie schodzi ze szpalt prasy obcej i naszej. Ostatnio prof. Stroński streścił w „Kurjerze Warszawskim" sensacyjny artykuł „Revue de Paris" o rozłamie, dokonanym wśród masonerji hiszpańskiej! Część generałów, która należała do wojskowego związku wolnomularskiego, stanęła na czele powstania narodowego, wraz z gen. Franco, nie masonem. Reszta masonów tkwi we froncie czerwonym.

Warto zdać sobie sprawę, jak różnorodne czynniki złożyły się na ów front narodowy hiszpański, który walczy dziś tak solidarnie, budząc entuzjazm nacjonalistów wszystkich krajów. A więc: rojalistyczni karliści, faszyści pod wodzą syna Primo da Rivery, monarchiści zwolennicy Alfonsa XIII i republikanie narodowi generała Franco. Zarazem masy katolików hiszpańskich i młodzieży narodowej walczą tu pod wodzą grupy wybitnych masonów czy już teraz eks-masonów. Widać stąd, że masonerja nie jest taką potęgą niezłomną, ani też takim czynnikiem decydującym, jak to się nieraz przedstawia, — że nie jest taką przynajmniej w Hiszpanji, gdzie instynkt narodowy i poczucie wspólnego niebezpieczeństwa okazały się silniejsze nietylko od bardzo jaskrawych nieraz przeciwieństw partyjnych, ale nawet od straszliwych zaklęć i zobowiązań masońskich. Front narodowy wyrósł z porozumienia najróżniejszych elementów, — i tylko dzięki temu porozumieniu może walczyć przeciw obozowi zorganizowanemu pod komunistycznym znakiem młota i sierpa, przeciw czerwonej fali, zalewającej Europę z kolei od zachodu.

A u nas? — hasła i czyny...

U nas hasło zjednoczenia rzucił, jak wiadomo, p. gen. Rydz-Śmigły, żądając, by wszyscy chwycili za łańcuch, przytwierdzony do Polski i ciągnęli wwyż. Cóż, kiedy — jak stwierdza „Zielony Sztandar" — p. premjer Składkowski, wyznaczony na stanowisko swoje przez p. gen. Rydza-Śmigłego, tak wyinterpretował to hasło:

„iż tymi wszystkimi nie mogą być ani socjaliści ...ani endecy ...ani ludowcy, bo ich przywódców czeka więzienie, tylko ta reszta... ta reszta, o której znikomości w społeczeństwie dobitnie świadczy choćby wynik wyborów do rady miejskiej w Łodzi...

„Ta reszta to — pisze dalej Zielony Sztandar — czynnik niezupełnie oficjalny — obóz sanacyjny".

Cóż, kiedy

„obóz ten jak żaden z obozów politycznych w Polsce (nawet z czasów „rozwielmożnionego partyjnictwa") obciążony jest w wysokim stopniu nałogami grupowej wyłączności. By mógł stać się zdolnym do wcielania w czyn haseł o jedności narodowej, musiałby się przedtem poddać egzorcyzmom, oczyszczającym go z wcielonego weń ducha partyjnego samolubstwa.

Kto chce być orłem lub latać jak orzeł, musi pokazać, że potrafi wzbić się wysoko ponad swoje gniazdo. Sanacja jest narazie kurą, zaczarowaną w kredowym kole swego ciasnego, grupowego interesu. To jest główna przyczyna niezdolności jej do zjednoczenia całego, czy choćby tylko większości społeczeństwa.

Pan Bóg, lasy polskie i — pan Loret

Panowie z sanacji nietylko niezdolni są do porozumienia się z główną masą społeczeństwa, ale nawet sami ze sobą.

A oto przykład.

W lasach polskich od szeregu lat włada niepodzielnie, jak wiadomo, p. Loret. Dziwne i nieprzeniknione są tajemnice gospodarki lasowej p. Loreta. Rąbek zasłony uchylały od czasu do czasu sprawozdania Najw. Izby Kontroli. Grochem o ścianę milczenia w tej sprawie waliła od czasu do czasu prasa. Wszystko napróżno.

Aż wreszcie bomba pękła, i to ze strony najmniej spodziewanej. Obecny Sejm sanacyjny, Sejm, jak wiadomo, nietyle wybrany ile dobrany, Sejm zglajchszaltowany, pokorny i cichy, ni stąd ni zowąd, jako ta „żaba śmielszej natury, wystawiwszy łeb do góry", zainteresował się... lasami p. Loreta i 28 lutego b. r. uchwalił rezolucję, wzywającą rząd, by w dziedzinie lasów państwowych stosował ściślejsze metody budżetowania.

Aliści — co się stało?

P. Mackiewicz w sanacyjnem „Słowie" wileńskiem, przypomniawszy tę rezolucję, zwraca uwagę na ostatni dekret z 30 września, wedle którego plan finansowo-gospodarczy lasów państwowych uchwala rada ministrów na wniosek ministra rolnictwa w porozumieniu z ministrem skarbu, a do budżetu wchodzi wyłącznie cyfra końcowa.

Co to znaczy?

„Znaczy to — pisze p. Mackiewicz — iż drukowane dotychczas w części B preliminarza podstawy obliczenia, dotyczące gospodarki w Lasach Państwowych, odtąd w budżecie przedkładanym Izbom umieszczane nie będą.

Tak rząd zrozumiał zalecenie ściślejszych metod budżetowania i tak je wykonał.

Chodzi tu o pozbycie się wszelkiej kontroli nad lasami państwowymi, kontroli Sejmu, prasy i opinji publicznej, która tak zaciążyła p. Loretowi i jego sympatycznym obrońcom w ostatnich czasach. Krytykowano nikłość wpływów, a raczej deficytowość gospodarki w tych lasach, krytykowano zbyt daleko idącą pomysłowość ich kierownictwa, która jak wiadomo rozpoczęła się od wyrobów soków i lemoniad itp. rzeczy we własnym zakresie, a skończyła się na interpretacji konstytucji we własnym zakresie. Otóż teraz ma tego wszystkiego nie być. Skończyło się. Zamknięto drzwi przed kontrolerami. Ile drewna się wyrąbie, ile drewna zmieni swój gatunek w tartakach p. Loreta, nikogo to nie obchodzi. Bóg mi powierzył polskie lasy, jemu zdam tylko rachunek".

Tak oto sympatyczny zadzierzysty harcownik obozu sanacyjnego, p. Mackiewicz, kreśli szeroki obraz historyczny, niby arkę przymierza między dawnemi a nowemi laty: z jednej strony Elstera i książę Józef, skaczący do rzeki wraz z honorem Polaków, a z drugiej lasy polskie i Pan Bóg, sam na sam — z panem Loretem.

Biedny naród polski! jak przed 100 z górą laty, wedle niezbyt fortunnie pomyślanej legendy, ni stąd ni zowąd miał stracić honor, utopiony w Elsterze, tak gotów teraz, nic a nic o tem nie wiedząc, stracić lasy, z których rachunek p. Loret oddaje tylko Panu Bogu.

„... Jako żołnierz Komendanta" ...

Z kontrolą wogóle dobrze w sanacji nie jest.

Oto „Depesza" przypomina, jak to obecny komisaryczny prezydent Warszawy, p. Starzyński, po objęciu urzędowania, oświadczył, że w dawnym magistracie zastał bagno, jakiego świat nie widział, i że, „jako żołnierz Komendanta, przyszedł dokonać przewrotu majowego na ratuszu".

Jakże ten przewrót się przedstawia?

„Depesza" podaje parę przykładów, z których przytaczamy tylko dwa.

Przypomina więc, że sąd warszawski skazał b. urzędnika wydziału zdrowia w magistracie warszawskim, Piotra Gryzinę Laska za to, że wobec prezydenta miasta zadenuncjował fałszywie kierownika miejskich zakładów sanitarnych dra Rabczewskiego, podając szereg zmyślonych zarzutów. Dr. Rabczewski tak się przejął tem fałszywem oskarżeniem, że dostał udaru serca i umarł.

Ale niedość tego. „Depesza" pisze dalej:

„Podając te informacje, prasa nie zaznaczyła, gdyż prawdopodobie nikomu do głowy to nie przyszło, że p. Gryzina-Lasek, po „wysadzeniu" p. Rabczewskiego, zajął bezpośrednio jego stanowisko i zajmował je tak długo, póki sprawa nie nabrała cech skandalu".

Otóż w „bagnie", jakie rzekomo zastał na magistracie p. Starzyński, nic podobnego zdarzyćby się nie mogło. Jak bowiem stwierdza „Depesza",

„poprzednio zachowywana była zasada, że nikt z kontrolerów nie może w mieście objąć innego stanowiska".

Przykład drugi, podany przez „Depeszę", przytaczamy dosłownie:

„W jednym z przedsiębiorstw komunalnych komisaryczny prezydent z miejsca zwolnił dyrektora pod bardzo ciężkimi zarzutami, sformułowanymi przez Biuro Dyscyplinarne. Sprawa momentalnie skierowana została do prokuratora. Dyrektora przez kilkanaście godzin zatrzymano dla badania, a przez ten czas usłużna prasa rozgłosiła z niesłychaną furją wiadomość, że został on zamknięty w krymfnale. Oskarżonego w rezultacie od odpowiedzialności uwolniono, wypłacono mu nawet odprawę. Oczywiście, przed tym jeszcze stanowisko jego zostało śpiesznie obsadzone przez in-

nego kandydata. Niedawno temu pękła bomba. Stwierdzono, że nowy dyrektor popełnił niewłaściwości, o wiele cięższe od zarzutów, które stawiano jego poprzednikowi. Sprawa musiała się znaleźć w komisji dyscyplinarnej, gdzie po wielu medytacjach zakończono ją naganą, po czym dyrektor powrócił do pełnienia swych obowiązków".

Tyle „Depesza".

„Marszałek żałował zamachu"...?

Artur Górski w „Marchołcie" (subwencjonowanym z Funduszu Kultury Narodowej) ogłosił artykuł „Ostrzeżenia", który jest drugim, po zeszłorocznym artykule Kołaczkowskiego, wielkim aktem oskarżenia, skierowanym pod adresem sanacji.

W „Ostrzeżeniach" znajdujemy jeden ustęp, wręcz sensacyjny.

Autor, wypowiadając się przeciw przewrotowi majowemu, pisze:

„Jestem najmocniej przekonany, że władza naczelna byłaby i bez krwawego przewrotu przeszła w przeciągu roku, a najwyżej dwóch lat w ręce Marszałka, a wtedy dalszy bieg rozwinąłby się z gruntu inaczej. Wtedy nie byłoby tego dzisiejszego stanu rzeczy, który „spędza sen z powiek" ludzi, patrzących w przyszłość. Wtedy i Marszałek byłby zapewne żył do dziś, w pełni sił".

O ile wiadomo ogółowi, Marszałek umarł na raka. Nie wiemy, dlaczego p. Górski przypuszcza, że ten rak nie rozwinąłby się, gdyby nie było przewrotu.

Co najciekawsza jednak, to załączona tutaj w artykule p. Górskiego notka:

„Zapewniano mnie ze strony osób. blisko Marszałka stojących, że już po dwóch miesiącach Marszałek żałował zamachu".

Nie wiemy, powtarzamy, skąd p. Górski czerpie swoje informacje i na czem opiera swoje przewidywania. Ale jeśli chodzi o cześć dla pamięci Zmarłego, to w każdym razie postawa, zajęta przez p. Górskiego, wydaje się być z pewnością bardziej odpowiednia, niż osłanianie autorytetem Marszałka, niby tarczą ochronną — różnych niepopularnych, lub wręcz fałszywych posunięć, dokonywanych przez żyjących i czynnych dygnitarzy. A to się powtarza nieustannie.

m. n.

Z Prasy Zagranicznej

„Polonica" w ubiegłym tygodniu rozmieściły się w prasie zagranicznej wręcz odwrotnie, niżby się tego należało spodziewać po zainteresowaniu naszej prasy krajowej. Żywotną dla nas sprawę kolonij, którą minister Beck postawił w Genewie pod płaszczykiem podziału surowców i przeludnienia, i która zajęła wiele szpalt polskich dzienników, nagół pokrywa milczenie. Jedynie prasa niemiecka poświęca tej kwestji nieco uwagi. Znamienne jest ujęcie rdzennie hitlerowskiego organu Völkischer Beobachter:

„Polska żąda międzynarodowego sfinansowania emigracji żydowskiej"—brzmi tytuł artykułu, wypisany wpadającemi w oko czcionkami — a pod nim czytamy:

„W poniedziałek zgłosiła Polska do Ligi Narodów swe życzenie w zakresie surowców i terenów kolonjalnych. We wtorek zażądała pomocy Genewy w rozwiązaniu kwestji żydowskiej w Polsce. Oddźwięk całej prasy polskiej wskazuje, że tu leży właściwa przyczyna polskich kłopotów gospodarczych.

...Postępowanie Polski w Genewie oznacza więcej, niż postawienie pewnych żądań w ramach narodowych konieczności. Oznacza ostrzeżenie i apel, ażeby raz wreszcie podejść do rozwiązywania problemów, od których zależy pokój świata".

W korespondencji, zatytułowanej „Taktyka Polski w Genewie". porusza między innemi sprawę kolonij polskich Frankfurter Zeitung. Subtelne ostrzeżenie Francji przed sprzymierzeńcem, którego polityka „jest i była nastawiona na utrzymanie równowagi między Francją a Niemcami", naginanie rzeczywistości polskiej do potrzeb... czytelników, przy jednoczesnem zachwalaniu zręczności polskiej polityki zagranicznej, osłabiają faktyczną wartość ciekawych bądź co bądź spostrzeżeń. Dlatego i wywody w drażliwej dla Niemiec sprawie kolonij należy brać cum grano salis:

„W wysunięciu swych życzeń kolonjalnych Polska starannie unikała jakiejkolwiek paraleli z żądaniami, stawianemi przez inne kraje. Kiedy Niemcy jako mocarstwo wysoce uprzemysłowione najsilniej podkreślają brak surowców, Polska uważała swój olbrzymi nadmiar ludności za najskuteczniejszy argument".

Pismo jest zdania, że polska sprawa kolonjalna stała się odtąd stałem zagadnieniem rozważań Ligi.

Völkischer Beobachter, który często się zajmuje zagadnieniami polskiemi a z prasy naszej najsympatyczniej przytacza warszawskie ABC, (i tym razem cytuje z tego pisma historję o ubraniach, topionych w morzu), wiele miejsca przeznacza na Gdańsk. Znalezienie broni u funkcjonarjuszów socjalistycznych w Gdańsku daje prasie niemieckiej pole do daleko idących komentarzy, które w większości opierają się na artykule dziennika narodowo - socjalistycznego Danziger Vorposten:

„Znaleziona broń jest według naszego przekonania tylko drobną cząstką owych składów broni i materjałów wybuchowych, jakie wwieziono z zagranicy do Gdańska zwłaszcza w ciągu ostatniego roku w tym celu, aby pewnego dnia o sprzyjającej porze rozniecić pożar, któryby wstrząsnął w Gdańsku znienawidzonym przez te elementy reżimem narodowo - socjalistycznym. N.S.D.A.P. żąda zatem od władz, ażeby podjęły kroki, by położyć koniec postępowaniu tych wrogów państwa. Nietylko ich kryminalne zbrodnie, które im można udowodnić, ale i ucieczka marksistowskich prowodyrów, którzy widocznie mają nieczyste sumienie, usprawiedliwiają zastosowanie najsurowszych względem nich kroków".

Jakże konwencjonalnie wygląda wobec tego tonu komunikat Biura prasowego Senatu Gdańskiego, powtórzony wielokrotnie i w Niemczech i w Polsce, o ulgach celnych dla zaopatrzenia bezrobotnych w zimie:

„Rząd polski na wniosek Komisarza Generalnego przyznał zniżkę celną w wysokości 100.000 zł., na ofiarowane z Niemiec towary, przeznaczone na pomoc zimową. Rząd polski może być pewnym wdzięczności ludności gdańskiej, cierpiącej nędzę".

Czujny, jak zwykle, Temps nie daje się zbić z tropu i alarm niemiecki o broni w Gdańsku takim zaopatruje komentarzem:

„Danziger Vorposten", organ partji narodowo socjalistycznej w Gdańsku, ogłasza artykuł z oświadczeniem, że Hitlerowcy Wolnego Miasta żądają ostatecznej likwidacji partji socjalistycznej, iżta przygotowuje zamach stanu w Gdańsku. Dziennik daje do zrozumienia, że Hitlerowcy potrafią uzyskać wkrótce zupełne unicestwienie partyj opozycyjnych".

Kropkę nad „i" kładzie Ère Nouvelle w artykule pod tytułem: „La nazification de Dantzig":

„Jak długo Gdańsk pozostanie wolnem miastem? W niebezpieczeństwie znajduje się nietylko sam reżim, ale i specjalna sytuacja Gdańska, uregulowana traktatami. Anschluss czy Gleichschaltung — inkorporacja czy zrównanie—oto dwa słowa, będące treścią polityki Hitlerowców gdańskich—czyli „roboty" Rzeszy — przeciw Lidze Narodów".

Przytaczając przykłady „lojalnego" postępowania Polski, wypadki zachowania się narodowych socjalistów, słuchających rozkazów jedynie z Berlina, kończy Ère stwierdzeniem, że

„przedłużanie tego stanu rzeczy prowadzi do komplikacyj, które zwolennicy hitleryzacji Gdańska pragnęliby sprowokować".

Prasę francuską obchodzą zresztą nietylko stosunki polsko - niemiecko - gdańskie, które bierze pod uwagę z punktu widzenia niebezpieczeństwa niemieckiego. Obchodzą ją również bezpośrednie stosunki polsko - francuskie i ze szpalt najpoczytniejszych dzienników przebija poważna o nie troska. Oto jeden z czołowych publicystów politycznych francuskich, rzeczowo zazwyczaj poinformowany Pertinax w Écho de Paris zabiera głos w sprawach zasadniczych:

„Zagadnienie „Francja — Polska" przedstawia się w sposób następujący: Generał Rydz-Śmigły za swego pobytu w Paryżu ożywił sojusz wojskowy z roku 1921. Ale ogólna linja polityki polskiej, nagięta przez min. Becka w stronę Niemiec, nie zmieniła jeszcze wyraźnie swego kierunku. Minister prowadzi swą grę z większą roztropnością i rezerwą. Mimo wszystko przy niej obstaje. I nie wierzymy, ażeby jego wyjaśnienia całkowicie przekonały p. Leona Bluma.

Sojusz wojskowy, który nie przejawia się dzień po dniu w ogólnej odpowiedniej polityce, nie ma nigdy znaczenia praktycznego. Rząd francuski przyrzekł kredyty i broń. Nie będzie mógł dotrzymać obietnicy, jak tylko wtedy, jeśli zasadnicza polityka Polski się wyprostuje. W przeciwnym razie byłby narażony na zarzuty swoich innych sprzymierzeńców, uprawnionych do zgłoszenia pretensyj o armaty, wysłane od nas".

W parę dni po tym artykule ambasador Łukasiewicz odbył rozmowę z ministrem Delbosem.

Że polityka Polski interesuje i Francję, i jej sprzymierzeńców nietylko w jej linjach zasadniczych, ale i w szczegółach, mamy dowody w szeregu notatek, dotyczących zamierzonych lub odbytych wizyt politycznych. Journal des Débats przypomina pogłoski o zbliżeniu z Rumunją:

„W ciągu miesiąca przybędzie do Warszawy z oficjalną wizytą generał Samsonowicz, szef sztabu generalnego rumuńskiego. Podróż ta będzie miała charakter polityczny i wojskowy; celem tej wizyty jest zbliżenie między Polską i Rumunją, które się stało pilną koniecznością po odnowieniu przyjaźni polsko-francuskiej. Pobyt generała Samsonowicza spowoduje rewizytę generała Rydza-Śmigłego w Bukareszcie, która nastąpi już to pod koniec bieżącego miesiąca, już też z początkiem następnego".

Innym rodzajem odwiedzin, możnaby rzec „masowych", zajmuje się Temps:

„Rząd polski rozesłał ministrom przemysłu i handlu dwunastu krajów zaproszenie do zwiedzenia warszawskiej wystawy metalurgicznej. Po ministrach francuskim i belgijskim spodziewani są szwedzki i bułgarski".

Także o wizycie mówi Prager Presse, jak wiadomo, pismo zbliżone do praskiego ministerstwa spraw zagranicznych:

„Jak się dowiadujemy, premjer Goering z Budapesztu, gdzie bierze udział w uroczystościach pogrzebowych Gömbösa, uda się wprost do Warszawy z zapowiedzianą wizytą".

Jak widać, „polonica" w ubiegłym tygodniu miały w prasie zagranicznej bardzo szeroką rozpiętość.

Azet.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O № 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1.50; zagranicą zł. 2.— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; 1/2 str. — zł. 125.— 1/4 str. — zł. 75.—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej). Tel. 11-91-03.